Nr. 23 (1430). Warszawa, 6 Czerwca 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i Życie społeczne

Związek katolicki.

W chwili, kiedy społeczeństwo polskie, wyczerpane po zawodach złudnych nadziei, zapada w apatyę i zdaje się bezczynnie opuszczać ręce, na widownię walk społecznych występuje, w naszym kraju, znowu siła, która w swoim czasie odegrała olbrzymią rolę w dziejach ludzkości. Rzymskie duchowieństwo, usunięte pod wpływem ożywczej fali wolnej myśli na drugi plan w dziele rządzenia ludami, próbuje znowu pochwycić ster władzy w swoje dłonie. Siły tej lekceważyć nie można, tembardziej, że chwila obecna sprzyja wszelkiej uzurpacyi władzy nad szamocącą się na bezdrożach myślą naszego ogółu.

Po nieudanych próbach skierowania potoku na drogę przekształcenia dotychczasowych stosunków, w czasie kiedy nieufność mas ludowych względem inteligencyi wzrasta pod wpływem doznanych zawodów, zjawia się na terenie pracy społecznej księżowska sutanna i rozchylając swe fałdy, wabi pod ich cień spragnione snu tłumy.

Potokiem słów zapożyczonych ze słownika walki o prawa narodowe i społeczne obałamuca zahypnotyzowany niemi ogół i korzystając z jego ciemnoty stara się go wyzyskać dla swoich celów.

Przyczajona za węgłami pomników nauki Chrystusa, pragnie ona zbudzić na nowo drzemiące w człowieku zwierzę, wywołać z mroków przeszłości nietolerancyę religijną i pogrążyć społeczeństwo nasze w odmęt walk i prześladowań religijnych, aby za ich pomocą odzyskać utraconą władzę nad światem.

Organizując w tym celu Związki katolickie, rzymskie duchowieństwo, już w pierwszym paragrafie ustawy dzieli nasz naród na dwa wrogie sobie obozy, zbierając pod swym sztandarem w imię Chrystusa, a wbrew jego nauce, jedynie prawowiernych katolików i ignorując zupełnie tę część polskiego społeczeństwa, która do kościoła katolickiego z chrztu lub przekonań nie należy.

Wskazując jako cel Związku rozwój życia narodowego w dziedzinie społeczno-kulturalnej i ekonomicznej uzależnia je w § 2 od wskazówek i decyzyi Stolicy Apostolskiej bez względu na to, że historya i teraźniejszość uczą nas, że interesów Rzymu z interesami narodu Polskiego identyfikować nie wolno.

Bałamucąc w ten sposób opinię ogółu kler rzymski w § 3 dowodzi, że w widokach osiągnięcia wyżej wskazanego celu (rozwoju życia narodowego) będzie bronić praw i powagi kościoła.

Czytając ten artykuł, mimowoli rodzi się w myśli pytanie w jaki sposób autorowie ustawy pogodzą dążenia niemiecko-rzymskiego kościoła, skierowane w Prusach ku wyparciu z domów Bożych i pacierzy i języka polskiego, z nauką Chrystusa i żądaniami naszego narodu?

Czyżby według ich zdania przekonanie, że się jest dobrym katolikiem równało pojęciu o tem, że się jest dobrym Polakiem?

Czyż nigdy nie przyszło im na myśl, że dobrym katolikiem może być Niemiec, Francuz, Anglik a nawet Chińczyk, a dobrym Polakiem kalwin, luteranin lub starozakonny?

Przewodnią acz ukrytą ideą twórców związku jest przywrócenie kościołowi dawnej wielkości i potęgi. Uwidocznia się to w dalszym ciągu ustawy, która nakazuje związkom współdziałać z kościołem w sprawie powrotu zakonów i religijnych kongregacyi oraz w sprawie odzyskania funduszów i majątków kościelnych i kościelno-edukacyjnych klasztornych i parafialnych w celach... *ulżenia ciężarów ludności.*

Dziwna logika, którą objaśnić można jedynie zupełną ignorancyą twórców ustawy albo też wiarą w ignorancyę stada, dla którego pasterze dusz tę ustawę pisali.

W chwili, kiedy świat cały dąży do wyzwolenia się z więzów opieki kościelnej, kiedy przodująca na drodze postępu Francya toczy zwycięską walkę o wyzwolenie szkolnictwa z pęt kościelnych, Związek katolicki występuje do narodu polskiego z propozycyą zaciśnięcia na szyi pętli, którą każdy zdjąć pragnie.

Żądania zdobycia władzy doczesnej i bogactw materyalnych tłumaczy dążeniem do *ulżenia ciężarów ludowi* w tej samej chwili, kiedy lud ten przez swoich przedstawicieli dopomina się o ziemię... *dla siebie.*

Szerząc dalej pojęcia o nietolerancyi, założyciele Związku zaznaczają wyraźnie, iż pragną szerzyć oświatę w duchu katolickim, przez zakładanie szkół katolickich, bibliotek katolickich, katolickich towarzystw naukowych, prasy katolickiej, klubów katolickich i t. d...

Dziwnem się wydaje to ograniczenie oświatowej działalności granicami katolicyzmu. Czytającemu ten rozdział ustawy nasuwa się mimowoli poważna wątpliwość względem sposobu pojmowania idei Chrystusa przez nowych związkowców. Wszak najdroższym skarbem na ziemi jest nauka i oświata. Wszak Chrystus wpajał w ludzi przekonania o konieczności dzielenia się z bliźnim dobrem doczesnem. Niezrozumiałą jest wobec tego troskliwość jego zastępców o zachowanie tego najdroższego skarbu je-

dynie dla wybranych, i odsuwanie od niego mas, zamieszkałych na terytoryum kraju i nie wyznających religii katolickiej.

W rozdziale tym uderza jeszcze zapowiedź o szerzeniu oświaty w duchu katolickim. Czyżby zapowiedź ta miała oznaczać, że nowy Jozue każe słońcu stanąć; mało tego, cofnąć się wtył i promieniami swemi podpalić nowe stosy dla dzieł Galileusza, Kopernika i innych. Bo jakże inaczej pojmować może tę zapowiedź człowiek, któremu choć cokolwiek znanym jest z historyi stosunek rzymskiego kościoła do prawd nauki.

Opierając się na nauce Chrystusa Związek katolicki idzie dalej niż sam Twórca idei i rozstrzyga kwestye ekonomiczne w duchu popierania drobnej własności rolnej i otaczania opieką, dążących do zdobycia własności robotników fabrycznych. Pochlebiając w ten sposób potrzebom proletaryatu, Związek stara się jedynie rozszerzyć koło swoich stronników i poderwać działalność stowarzyszeń niekatolickich.

Ujawnienie obcych naszemu społeczeństwu celów Związku mogłoby się spotkać z zarzutem, że pewną liczbę chętnych do pracy jednostek staramy się usunąć od działalności społecznej. W rzeczywistości jednak zarzut taki byłby nie słusznym choćby z tego względu, że poszczególne jednostki ze sfer duchowych, o ile zechcą przyłożyć ręki do ogólnej pracy, przyjmowane są wszędzie bardzo chętnie, a suknia duchowna nigdy i nigdzie nie stanowiła przeszkody w przyjęciu kandydata do jakiegobądź stowarzyszenia.

Inną jest jednak rzeczą pracować wspólnie ze społeczeństwem dla jego dobra, a inna — zaprządz to społeczeństwo do pracy dla dobra jednej kasty. A to ostatnie dążenie przebija się w treści całej ustawy, która zastrzega miejsca: prezesa honorowego całego Związku dla arcybiskupa warszawskiego, Związku dyecezyalnego dla biskupa, przewodnictwo podczas obrad w Związkach parafialnych powierza proboszczom, a w dyecezyalnych biskupom lub ich delegatom bez względu na ich wartość umysłową. Wybór prezesów rzeczywistych, ustawa Związku czyni zależnym od zatwierdzenia biskupów i arcybiskupa; zastrzega prawo wykreślenia poszczególnych członków w razie niespełniania przez nich obowiązków religijnych, oraz wyłączanie ze Związku katolickiego w Królestwie Polskiem poszczególnych Związków parafialnych.

Związek ma prawo zwoływania ogólnych *narodowych* wieców katolickich, a komitet Związku reprezentuje go wobec Stolicy Apostolskiej. Jeżeli dodamy do tego, że wszelkie zmiany ustawy, instrukcye i regulamin wewnętrzny podlega zatwierdzeniu władzy duchownej, będziemy mieli jasne wyobrażenie o organizacyi rzymskiego duchowieństwa, stworzonej w celu rozszerzenia jego władzy i potęgi.

Wszelkie organizowanie się sił społecznych, czy one będą dla nas sympatycznemi lub nie, o ile tylko dąży do celów mających na widoku dobro całego ogółu, powinno zasługiwać na uznanie. O ile jednak widzimy, że tworzy się instytucya, której celem będzie podkopywanie samodzielności narodowej, ujarzmienie ducha i oddanie go wyłącznie w moc jednej kasty z centralną władzą poza granicami kraju, obowiązkiem naszym jest ostrzedz ogół przed grożącem mu niebezpieczeństwem.

St. St.

Karol Marks i nauki społeczne.

(Ciąg dalszy)

Zaznaczone poprzednio właściwości nauk humanistycznych dotyczą każdej wiedzy, której przedmiotem jest człowiek. Nietylko historyi ale i tego, coby systematycznemi naukami o ludzkości nazwać można, jak nauki o społeczeństwie ludzkiem lub jednej jej części, ekonomii politycznej. I tutaj humanistyczny charakter przedmiotu, oraz specyalny rodzaj poznania na mocy przeżytego. O rzemiośle i o kapitalizmie, o cenie i o giełdzie, o cenach pracy roboczej i dyskoncie bankowym nie mogę słowa powiedzieć póki doświadczenie nie pozwoliło mi mówić (jestem jak inni: papugą, która mechanicznie powtarza posłyszane słowa). To, co socyologię lub ekonomię polityczną (jeśli te nauki weźmiemy za przykład) od historyi odróżnia, jest „systematyczny” rodzaj poznania. „System” ten jednak służy tylko jako środek pomocniczy, by lepiej pojąć dziejowy przebieg rozwoju ludzkiego. Chodzi właściwie o przedstawienie historyi teraźniejszości i przyszłości o ile to jest rzeczą możliwą. W tym celu posługujemy się niekiedy wielce sztucznym aparatem, którego części składowe możnaby przedstawić w sposób następujący:

1. Tworzy się pewną ilość pojęć przez zestawienie typowych, jak się przypuszcza, cech rzeczywistości i pojęcia te łączy się w pewien system: podporządkowane ogólniejszym pojęciom miasto, rzemiosło, fabryka, gospodarka, przedsiębiorstwo, cena, renta gruntowa, kapitalizm i. t. d.

2. Tworzy się możliwie najdłuższy szereg związków przyczynowych w ten sposób, iż przez zizolowanie wyraziściej występuje działanie pewnych przyczyn; powstawanie ceny, renty gruntowej, zysków i t. d.

3. Łączy się myślowo jak największą ilość poszczególnych zjawisk w pewną całość sprowadzając je już to do pewnego celu (organy państwa, funkcye handlu i t. d.), już to do wspólnej przyczyny (miasto współczesne i kapitalizm).

4. Staramy się wreszcie wykryć rzeczywiste tendencye rozwojowe w ten sposób, że regularnie powtarzające się zjawiska masowe wiążemy z pewną siłą stale działającą (naprzykład pogoń za zyskiem kapitalistycznego przedsiębiorcy); przypuszczamy zatem (jak długo owa siła jest czynną i inne warunki nie ulegną zmianie), iż tendencya ta ujawniać się będzie i w przyszłości; naprzykład teorya wzrostu nędzy, teorya koncentracyi kapitału, „prawo” zmniejszających się zarobków.

„Prawo”... Oto poruszyliśmy najzawilsze zagadnienie, jakie zna wiedza. Polega ono na różnicy znaczenia, jakie ma „prawo” dla nauk przyrodniczych i nauk humanistycznych.

Badania przyrodnicze zmierzają do wykrycia praw: prawo to poznanie. Prawem

Lafcadio Hearn.

HARON.

Haron odebrała w domu rodzicielskim wychowanie staro-japońskie, bardzo jednostronne. Haron uosabiała typ misterny kobiety japońskiej o prostem sercu, naturalnym wdzięku ruchów; rozwinięto w niej też posłuszeństwo i wysokie poczucie obowiązku.

Dziewczę teoretycznie przygotowane do roli małżonki, zawczasu skazane było na łaskę lub niełaskę przyszłego pana i władcy. Panując nad wybuchami gniewu, bólu wszelkiego, zazdrości, walczyła jedynie łagodnością i stawała bezbronna wobec cierpkiej i twardej egzystencyi społeczeństwa nowożytnego.

Z urodzenia należała Haron do jednej z najwybitniejszych rodzin japońskich — mąż jej był niższego pochodzenia — oddała mu się z miłości, całem swem subtelnem jestestwem, niestety często nie była przez męża zrozumianą. Początkowo niemajętni, doszli z czasem do znacznego dobrobytu, zawdzięczając tę zmianę zdolnościom przemysłowym męża. Haron z biegiem lat zastanawiała się niejednokrotnie nad tem, że uboga była stokroć szczęśliwszą i więcej miłowaną, a serce kobiety nigdy się nie myli w tych razach.

Czemu przypisać tę zmianę? Wszak zawsze uprzedzała najmniejsze jego życzenia — z domu swego uczyniła gniazdko zalotne i wygodne — własną ręką krajała i szyła odzienie, które nosił, usługiwała mu chętnie; kiedy podążał rano do zajęć swych, żegnała go miłym uśmiechem, witając również radośnie, wracającego wieczorem. Przyjaciół jego przyjmowała z zachwycającym wdziękiem, zarządzała gospodarstwem z ładem i składem, żądając bardzo rzadko wydatku kosztowniejszego dla siebie.

Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że mąż zwykle uprzedzał jej życzenia, będąc szczodrobliwym z natury, lubił widzieć ją ładnie przybraną, podobną do owych pięknych srebrnych motyli, tulących się w zagięcia własnych skrzydeł — dbał o jej przyjemności — prowadził ją do teatru i dostarczał innych rozrywek.

Wiosną odwiedzali razem owe śliczne położone miejscowości, gdzie kwitną wspaniałe swą krasą, białe pachnące czereśnie, gdzie letnią nocą iskrzą się ogniste roje muszek a jesienią barwią się purpurą koron szerokolistne klony. To znów spędzali dzień cały w Maiko, nad brzegiem morskim, wśród kołyszących się na wzór tanecznic wysokopiennych sosen — lub popołudniu odwiedzali dom wiejski Kiyomitson a senne otoczenie budziło wspomnienia przeszłości minionej, przeszłości z przed pięciu wieków — albo też błądzili w cieniu wielkich drzew, zaszywali się w gąszcz leśny, słuchając głosu oddalonej fujarki, rozbrzmiewającej jak niegdyś, skargą tęskną, a szmer wody krystalicznej, sączący się cicho ze szczelin skalnych i złote światło zachodzącego słońca, napełniało ich serca melancholią i słodyczą.

Haron nadewszystko kochała dom swój i całe dnie poświęcała przyozdabianiu mieszkanka, stroiła je w wiązanki kwiatów, cząstkę oddając zawsze w ofierze bóstwom opiekuńczym — karmiła w sadzawce ogro-

jest matematyczna formuła, wiążąca w ten sposób kolejno po sobie następujące zjawiska natury w pewną jedność myślową (przez cyfrowe ustosunkowanie wielkości dających się wymierzyć i zważyć), iż żadne zjawisko nie wymyka się z pod opisu i możliwem jest podporządkowanie poszczególnych zjawisk pod regułę ogólną.

Czy istnieją takie prawa w świecie ludzkim, czy wogóle jesteśmy na drodze do ich wykrycia lub mamy jakiekolwiek warunki po temu? Odpowiedź na to pytanie brzmieć musi zaprzeczająco. To wszystko co z praw tego rodzaju posiadamy, naprzykład w ekonomii politycznej, jest zamaskowanem prawem natury; takiem jest prawo o zmniejszającej się wydajności gleby. Nie ma ani jednego prawa w jakiejkolwiek dziedzinie, któreby stale i powszechnie rządziło ludzkością.

Powodem tego na pozór dziwnego faktu jest właściwy charakter wiedzy o człowieku, który poznaliśmy w głównych zarysach. Jak mogą istnieć prawa powszechnie obowiązujące, gdy przedmiot (materya) i siły zmieniają się nieustannie w historyi? Prawo ciężkości, prawo spalania się ciał wywiedliśmy w przypuszczeniu, że jak długo ziemia nasza krążyć będzie koło słońca, materye i siły pozostaną temi samemi t. j. zawsze sprawiać będą, iż kamień będzie spadał a drzewo się paliło. Prawa dotyczące ceny w tym tylko wypadku i tak długo będą obowiązywać:

1. Jak długo ludzie wchodzić będą w określone stosunki, z natury swej podległe zmianie (wymieniać będą na rynku wytwory swej pracy).
2. Jak długo sprzedający i kupujący zachowają określony (bynajmniej jednak nie stale istniejący) nastrój psychiczny. Konieczność spadania ciał jest czemś istotnie różnem od konieczności zapłacenia określonej ceny przez kupującego. Stroną zasadniczą zjawiska prawidłowego przyrody jest matematycznie tosamo działanie siły, stroną zasadniczą zaś procesu zachodzącego na rynku jest stała zmienność motywów i czynów żywych osobników, stanowiących tutaj „siły".

„Prawo" dotyczące ceny jest więc ograniczonem nietylko w zakresie swym, ale również, i bardziej jeszcze, w swej działalności.

Jego znaczenie dla ekonomii politycznej jest całkowicie różnem od znaczenia prawa ciężkości dla mechaniki. W nim ujawnia się owa tendencya do abstrahowania, o której wspominaliśmy powyżej, jako o środku poznania rzeczywistości. Śledzimy w myśli możliwe działanie pewnego określonego motywu (pragnienie kupowania jak najtaniej, sprzedawania jak najdrożej) i formułujemy fikcyę tę jako prawo, które być może nigdy nie działa. Te „prawa" nie są poznaniem, lecz przygotowują jeno poznanie. Ujmując w teoretyczne normy skutek wzrostu produkcyi metali szlachetnych (na przykład w zdaniu: jeśli zwiększenie produkcyi połączone jest ze zmniejszeniem kosztów wytwórczości, to ceny wzrastają, w przeciwnym wypadku zjawisko to nie zachodzi) bynajmniej nie osiągamy jeszcze przez to poznania. Uzyskujemy je dopiero z chwilą zbadania in concreto skutków odkrycia Kalifornii. Kiedy więc przyrodnicze prawa stanowią właściwy zasób wiedzy, jakim rozporządza nauka o naturze, to socyologiczne „prawa" nie są niczem innem jak technicznym aparatem, przy którego pomocy zdobywamy wiadomości. Są one nie końcem, lecz początkiem poznania.

Prócz tego pomocniczego aparatu technicznego istnieją jeszcze w naukach humanistycznych wyżej wspomniane „tendencye rozwojowe", które niekiedy nazywamy również prawami. Nie mają one atoli bynajmniej owego charakteru, jakie mają prawa w naukach przyrodniczych. Nie mają go dlatego przedewszystkiem, ponieważ nie są ogólną formułą zachodzących wypadków, lecz tylko przewidzieć się starają prawdopodobny przebieg pewnego określonego zjawiska. „Prawo koncentracyi kapitału" ma znaczenie tylko dla pewnego środowiska historycznego, ograniczonej mianowicie co do czasu epoki kapitalizmu w spółczesnych państwach, a i w tem nawet środowisku zniknąć może każdej chwili skutkiem planowego wmieszania się państwa lub zmian w układzie sił (natężeniu woli) działających osób. Jakżeż więc zestawiać można tego rodzaju „tendencye rozwojowe" (których określenie nawiasowo mówiąc może być bardzo pożytecznem) z „wiecznemi prawami", które formułują badacze przyrody dla zawsze jednakowego przebiegu zjawisk natury.

Nic więc dziwnego, że również i historya nauk przez nas porównywanych przedstawia się całkowicie odmiennie.

Historya współczesnej wiedzy przyrodniczej (współczesnej t. zn. opierającej się na badaniach ilościowych) przedstawia nam się w gruncie rzeczy jako coraz większe nagromadzenie poszczególnych wiadomości. Jedna generacya przekazuje drugiej pewien zapas rzeczywistej wiedzy, do którego następna dołącza swą cząstkę. Z dumą mówi się o „postępach wiedzy" i ma się wyobrażenie (w tym wypadku umysł nasz ulega również wpływom ilościowej metody), że potrzeba tylko pomnożyć jeszcze zasoby wiedzy, by poznać w końcu „istotę świata". Każdy też badacz przyrody czuje się ogniwem wielkiego łańcucha. Opiera się na barkach swego poprzednika i jeden z nich wreszcie wzniesie się tak wysoko, iż gwiazd dosięgnie. Przyrodnik czuje się tylko pomnożycielem w państwie swej wiedzy. Wiedza o naturze objektywizuje się natychmiast z jej powstaniem. Poszczególne zdobycze stają się czysto rzeczowemi wiadomościami, pozbawionemi wszelkiej osobistej cechy. Nikt nie pozna, iż ojcem prawa ciężkości jest Galileusz, prawa o zachowaniu siły Robert Mayr.

Coś wprost przeciwnego widzimy w naukach humanistycznych. Tutaj każde dzieło ma pewne osobiste piętno, chociażby tylko (jak się najczęściej zdarza) cechę partactwa. Wielkie dzieła są wybitnie osobistymi tworami, podobnie jak Mojżesz Michała Anioła lub Fidelio Bethovena. Nie można dlatego ich włączyć do łańcucha innych. Istnieją one same dla siebie, obok innych. O jakiemkolwiek gromadzeniu objektywnych wiadomości (pomijając zbieranie faktycznego materyału) nie może być mowy; podobnież jak o budowaniu dalej. Historya wiedzy o człowieku przedstawia nam się zatem jako zbiór ułożonych obok siebie dzieł osobistych, mających niekiedy wspólne maniery, zwane metodami, o których wartość toczy się od czasu do czasu bezużyteczna walka. Uczniowie przyswajają sobie tę lub inną manierę mistrza i spierają się o nią, jak gdyby o to chodziło według jakiej „metody" patrzeć należy, gdy w rzeczywistości ważnem jest jeno, by posiadać oczy ku widzeniu, uszy ku słyszeniu a usta ku wyrażnemu wypowiadaniu tego, co się widziało i słyszało.

Jest rzeczą dostatecznie zrozumiałą, dlaczego takim a nie innym jest bieg historyi nauk humanistycznych, dlaczego dzieje ich tak całkowicie odmiennie kształtują się od dziejów nauk przyrodniczych. Zawsze bowiem nowym jest przecież przedmiot badań, wciąż nowymi ludzie, którzy badają i ustawicznie zmieniają się warunki, wśród których „poznanie" dochodzi do skutku. Nikt też niewątpliwie nie będzie twierdził, że „wiedza historyczna" od Tucydidesa do Tacyta, od Macchiavelliego do Mommsena dokonała jakichkolwiek „postępów", że nasze wiadomości o życiu ludów (pomijając —

---

dowej złote rybki oswojone, które za jej ukazaniem podnosiły swe główki z pyszczkami otwartymi.

Rozkoszy macierzyństwa Haron nie zaznała — dzieci nie mieli, jakkolwiek w uczesaniu kobiety zamężnej, miała wygląd dzieweczki pełnej uroku niewinnego i pociągającego.

Szczęśliwą była pięć lat —szczęściem zupełnem. W okresie tym, młody mąż był uprzedzającym o tyle, o ile może nim być kupiec, poślubiony kobiecie, stokroć więcej wyrafinowanej jak on sam. Ale nadszedł dzień, że ochłódł dla niej tak gwałtownie, że naprożno biedna Haron szukała przyczyny tej nagłej zmiany usposobienia — naprożno obwiniała się o zaniedbywanie w obowiązkach — zapytywała swego sumienia — wysilała się w przypodobaniu temu, który się odwrócił od niej obojętnie. Nieczuły, stawał się coraz przykrzejszym, niecierpliwszym, co widząc służba mówiła o nim, że nosi czarta w swem sercu. Zazwyczaj Japończyk klas wyższych, na wymówki, czynione mu przez żonę, nie odpowiada nigdy gwałtownie — są to maniery brutalne a Japonia uznaje tylko łagodne słowa i słodkie obejście — roztropne też to postępowanie, bo czyż kobieta natury wrażliwej i delikatnej, poddałaby się długo zachowaniu gburowatemu — w rozpaczy za słowo niewłaściwe,popełniłaby samobójstwo, a hańba takiego czynu spada na tego, który go wywołał. Pod maską nieprzeniknioną Japonka kocha na równi sióstr swych europejskich — uczucie jest silniejsze niż wszelka edukacya, i owa w niejeden wieczór, wśród towarzystwa ożywionego i eleganckiego, czarująca pięknością i wdziękiem istota, łamie się z ukrytem cierpieniem i pożąda całą duszą chwili spokoju i samotności.

Zazdrość Haron nie na darmo była rozbudzona — nie czyniła mu jednak żadnych wymówek—domyślała się, że mąż jej wpadł w pułapkę zręcznie zastawioną — wymieniano nazwisko gejszy, która trzymała go pod urokiem swych oczów figlarnych i czarującego uśmiechu — mniej ładna od niej, zalotnością i udaną miłością usidliła słabego jej męża — doprowadzić mogła do ruiny majątkowej i zburzenia szczęścia domowego.

Haron, ukrywając swe uczucia i myśli, okazywała zawsze tę samą wzruszającą dobroć ale mąż bystrzejszej inteligencyi odgadłby łatwo, prawdziwy stan jej duszy.

Zostawiał ją samotną w domu, nieobecność swoją przedłużał często do późnej nocy, nie tłumacząc się nigdy ze swego lekkomyślnego i nieuczciwego postępowania — sumienie jego było coraz mniej wrażliwe na to, co powie lub pomyśli żona.

Ona zaś nauczona, że obowiązkiem dobrej małżonki jest konieczność czekania jego powrotu do domu, nie wyłamywała się z pod tego prawa, zawsze uległa i cicha. Powoli zapadła w stan nerwowej depresyi, i gorączkę—skutek nieuniknionych długich bezsenności i rozpaczliwego smutku, przeciw któremu daremnie walczyła.

Mąż zaniedbywał ją coraz częściej — całą jedną noc przepędził poza domem — drugą i znów następną — po tych dniach obelżywego zapomnienia ranek zawitał trzeci i Haron nie ujrzała powracającego.

Zrozumiała, że wybiła dla niej godzina wystąpienia — tak jej nakazywał obowiązek uczciwej małżonki.

W udręczeniu przebywała godziny nieskończonego oczekiwania niespokojna mimowoli o niego, zatrwożona, z samowiedzą rozbudzoną nareszcie, że cierpi jej serce kobiece, głęboko zranione.

łoznaczne szczegóły) pomnożone zostały w ciągu trzech tysięcy lat. Również nikt nie zechce twierdzić, że naukę o państwie od czasów Arystotelesa lub Montesquieu'go w jakikolwiek sposób posunięto naprzód. I nikt chyba także nie będzie sądził, że nasza znajomość życia gospodarczego jest głębszą od znajomości Canntillona, a raczej stwierdzić wypadnie, że wszystko to, czego uczyli rozumni merkantyliści jest w tym samym stopniu słusznem i prawdziwem, jak to co w swoim czasie głosili Quesnay i Adam Smith, i że ich wiedza tak samo głęboko (jeśli nie głębiej) sięga, jak nasza dzisiejsza.

Te rozważania dają nam dopiero możność właściwej oceny twórczości w dziedzinie nauk przyrodniczych i nauk humanistycznych, a zwłaszcza pozwalają nam orzec jak uposażone być muszą wielkie umysły twórcze w tych naukach. Wszystko, do czegośmy dotychczas doszli, skłania nas do przypuszczenia, że wielkie dzieła w naukach przyrodniczych i humanistycznych muszą mieć odmienny charakter; że wielcy badacze przyrody i wielcy badacze ludzi muszą być ulepieni z zupełnie innej gliny.

Naturalnie w wielu względach będą do siebie podobni. Wielki myśliciel będzie zawsze posiadał pewne stałe cechy, które wyróżniać go będą od naukowego rzemieślnika, jak i od wybitnych ludzi uzdolnionych w innym kierunku. Będzie posiadał szeroki pogląd na rzeczy. Do tego potrzebna jest zdolność abstrakcyi obok silnego poczucia rzeczywistości. Będzie z łatwością odróżniał cechy istotne od podrzędnych. Wyposażony będzie w silnie rozwiniętą wyobraźnię i wielką energię do pracy. A różnić się będzie od zwykłego rzemieślnika tem przedewszystkiem, że najlepsze jego dzieła będą bezwolnym aktem twórczego procesu, odbywającego się w głębiach duszy bez udziału świadomości. Poza tem jednak jak dalece przecież różnią się zadania, czekające przyrodnika, od zadań które rozwiązać ma badacz ludzi; jak zasadniczo więc różnem musi być uzdolnienie obu, by każdy z nich na swem polu mógł dokonać czegoś wielkiego.

O wielkości badacza przyrody stanowi zdolność doprowadzenia rozpoczętej myśli do końca, to znaczy do punktu, gdzie wszelka ilość zjawisk da się ująć w jaknajprostszą formułę. Wielkim robi go duża zdolność abstrahowania. Musi być genialnym rachmistrzem, który z kolumnami cyfr w mózgu kładzie się spać i nazajutrz może tensam obraz cyfr lub figur wywołać w umyśle. Również biegłym musi być kombinatorem, zdolnym wyobrazić sobie setki możliwych kombinacyj, aby jedną z nich wybrać jako właściwą, jako zawierającą „rozwiązanie".

Od badacza ludzi nie oczekujemy żadnych rozwiązań; żądamy raczej od niego stawiania problemów, jakby powiedzieć można w paradoksalnej formie. Wywyższa go nad innych nowy zawsze pogląd na świat i ludzi. Również i on jest wielkim jako odkrywca. Lecz nie jako odkrywca (czytaj twórca) praw, lecz jako odkrywca ludzi i ludzkiej istoty. Cenimy w nim moc ożywiania ludzi, przedstawiania nam ich jako żywych w ich myślach, uczuciach, działaniu. Co uczyniło wielkimi badaczami Carlyle'a, Taine'a, Mommsena, Burkhardta, Gneista, Treitschkego, Iheringa, Wiktora Hehna? Nie to przecież, że sformułowali jakieś „prawo", lecz to jedynie że stawili przed naszemi oczyma żywych ludzi. Jedni odkryli ludzi rewolucyi, drudzy Rzymian lub ludzi z doby odrodzenia, inni angielskich szlachciców lub Włochów albo biurokratów pruskiego ancien regime'u. Co zapewnia Mommsenowi wieczną sławę? Zaiste nie jego 1500 uczonych traktatów, opracowanych z niezrównaną sumiennością i znajomością rzeczy (gdyż w tym względzie sprostać mu ostatecznie może profesor Eward Meyer albo inny profesor). Również nie wydanie przez niego Corpus inscriptionum. Lecz do potomności przeszedł jako autor rzymskiej historyi, w której okiem jasnowidza oglądał świat rzymski i odtworzył go nam jako genialny artysta.

Aby badacz ludzi mógł dokonać owego jedynie przez nas cenionego dzieła, w tym celu nie potrzebuje przecież być ani wielkim rachmistrzem, ani posiadać nadzwyczajne uzdolnienia do abstrakcyjnego myślenia. Musi mieć jeno potężną moc powoływania do życia. Potężny strumień życia musi przezeń przepływać, władny być winien stwarzać w swej duszy światy ludzkie i siłą swego zmysłowego przedstawienia wskrzeszać je w innych tak, aby one dla nas stały się czemś przeżytem. Tem właśnie różni się wielki badacz od profesora, że krew a nie atrament płynie w jego żyłach.

Tłum. wh.

(d. n)

LIBERUM VETO.

Prosektoryum amatorów.

Z rozszerzonych granic swobody wszyscy skorzystali, jak umieli, jak chcieli i jak im wskazywał interes. Niewątpliwie, otwartemi jej ujściami popłynęło wiele usiłowań poważnych, zdrowych, twórczych i płodnych, ale też rzuciło się bardzo dużo mętów i skanalizowanych wolnością wydzielin chorobliwych. Nie byłoby w tem nic nienaturalnego i groźnego, gdyby stosunek tych pierwiastków nie wykazywał zbyt wysokiego procentu ostatnich. Wiemy, jak się rozpostarł po naszem życiu bandytyzm pod najrozmaitszemi formami, przybierającemi nieraz postać ideową — „anarchistycznego komunizmu"; wiemy, jak się rozhulała napastniczość potwarcza i terror zbrodniczy; na jeden wszakże objaw mało zwrócono uwagi — na wybuch seksualizmu.

Schiller powiada, że światem rządzą głód i miłość. Tylko więc ślepota, nieumiejąca dostrzedz rzeczywistości, lub obłuda, pragnąca zataić pewne jej strony, może lekceważyć olbrzymią potęgę, która działa w popędach płciowych i tylko lekkomyślność może zakrywać jej zboczenia i zwyrodnienia przezroczystemi zasłonami. Zwłaszcza zaś prostytucya jest tą głęboką, coraz szerzej się rozwierającą i coraz zaraźliwszą raną, o której myśleć i mówić, którą leczyć trzeba. Ale pod warunkiem, obowiązującym zresztą wszelkie badania, że to czynić będą ludzie, którzy do tej sprawy wniosą gruntowną wiedzę i powagę sądu. Tymczasem przed jakie instancye my ją wprowadziliśmy! Kto kilka razy odwiedzał lupanar, a zwłaszcza kto wyniósł z niego smutny upominek; kto zetknął się z królowemi lub służebnicami nocy; kto przeczytał parę pornograficznych powieści, — uczuwał powołanie Lykurga i z katedry publicznej lub kolumn prasy ogłaszał nam prawa o nierządzie. Na wiecach pedagogicznych dzieci rozprawiały całemi godzinami o tym przedmiocie. Może nigdy ściany gabinetu lekarza nie słyszały tak bezwstydnych, drobiazgowych wyznań i spostrzeżeń, jak ściany Filharmonii, natłoczone wielotysięcznem zebraniem, pouczanem przez gimnazistów. Te publiczne wymioty moralne, te popularne wykłady o zgniłych i zwyrodniałych popędach były ze strony nieletnich prosektorów płciowości rodzajem rewolucyjnej odwagi i bohaterskiego buntu przeciwko „tak zwanym rodzicom" i „tak zwanej etyce"; ze strony zaś ich audytoryum był to dowód „uszanowania dla wolności słowa" i „nowych prądów życia". Biedna rewolucya, której używano do najrozmaitszych posług, musiała również sprzedawać na targu ludzką padlinę. Bywały chwile, w których zdawało się, że gdyby Warszawę nakryć jednym dachem, mielibyśmy wielki dom publiczny. Nowa Sodoma, gorsza od starej, bo w niej nawet nie było Lota.

Jest to prawdą, że w społeczeństwie ubezwłasnowolnionem i pozbawionem samorządnego regulowania spraw swoich, muszą

Będąc niebezpiecznie chorą, wyczerpaną fizycznie i moralnie, nie zdawała sobie z tego sprawy—czuła tylko ogarniające ją zdenerwowanie i ból dotkliwy i gorzki. Południe wybiło — skulona na tatamie powtarzała słowa przemowy, najmniej samolubne jakie wynaleźć mogła — pierwsze jej słowa wymówki. Nagle serce jej zaczyna bić uderzeniami nierównemi, niespokojnemi — zasłona ciemna spada na jej oczy — przedmioty dookoła zaczynają wirować w odmęcie szalonym — słyszy turkot kół zbliżającej się konroszmy i głos służącego: „Pan nasz powraca!"

Z wysiłkiem nadludzkim chce iść na jego spotkanie ale wątłe ciało wstrząśnięte cierpieniem i obawą odmawia posłuszeństwa — zamiast słodkiego uśmiechu twarz powlokła się śmiertelną bladością, wyciąga ręce ku wchodzącemu mężowi, chwyta się jego szaty jedwabnej i wpatrując się w jego oczy, czyta w głębi najtajniejszej jego duszy... nie może już przemówić — z ust wydobywa się tylko okrzyk jedyny, Anata? Ty. Przestaje go obejmować, — spojrzenie jej gaśnie z dziwnym uśmiechem, i zanim młody człowiek zdążył ją podtrzymać silnem ramieniem, pochyla się ku ziemi jak skoszony kwiat. Złamało się coś w tym filigranowem stworzeniu—życie uleciało—spoczywa blada i piękna — cały niepokój i smutek zatarł się na wieki na jej obliczu — uśmiecha się jak niegdyś w dzień ich ślubu.

Dziwią się ludzie, że nie wstąpił do zakonu—czyż sumienie mu tej pokuty nie wskazuje? Pochmurny i milczący spędza dnie całe wśród sztuk jedwabiu z Kyoto i materyałów haftowanych z Osaka. Subiekci nazywają go dobrym panem, przemawia bowiem do nich łagodnie.

Opuścił dawne mieszkanie a świt zastaje go najczęściej przy pracy. Obcy ludzie zamieszkują dziś dom, gdzie błąkała się wysmukła Haron a cień jej zdaje się pochylać wdzięcznie nad wodami sadzawki. Gdziekolwiekbądź przebywa obecnie, nie może uciec od niej, od jej milczącej obecności. Widzi ją obok siebie, schyloną nad igłą, pospiesznie szyjącą te szatę, w której ją zdradzał.

Często w chwilach najczynniejszej pracy ukazuje mu się ona niespodzianie.

Cyfry ksiąg się chwieją, znikają a głos żałobny, którego bogowie uciszyć nie mogą — podnosi się z jego serca samotnego i „Anata szepcze on".

([illegible] Z. H.)

wszystkie jego choroby przybierać tę ostrość rozwoju, który im nadaje długie zaniedbanie. Jest to prawdą, że pewne, wierzchnie warstwy naszego narodu są fizycznie wyczerpane i bardzo skłonne do zboczeń. Jest to również prawdą, że nienormalne, stale drażniące warunki życia utrzymują nas w stanie ciągłego zdenerwowania, które wywołuje nadmierną wrażliwość nerwową. Ale i to także jest prawdą, że w niewoli myśl nasza odwykła od poważnych zagadnień i ogromnie zredukowała ich skalę, że pozyskaną swobodę zużytkowaliśmy w znacznej części na wybuchy dyletantyzmu. Setkom, tysiącom umysłów płytkich i niedojrzałych, których jedyną wiedzą była bolesna świadomość długiego, przymusowego milczenia, zdawało się, że nagromadziły mnóstwo mądrości, którą powinny coprędzej rozdać głodnemu społeczeństwu. A szczególnie czuły one tę pobudkę wobec przedmiotów, o których dotychczas nie wolno było mówić wcale lub całkowicie otwartemi ustami. W chwilach przełomu, w chwilach rozpadania się murów więziennych życia, najwięcej rodzi się prawodawców. Przypomnijmy sobie, ile to po deszczu wolności wyrosło u nas grzybów ochotniczego ustawodawstwa. Ludzie, którzy posiadają mało wiedzy i energii, posiadają zawsze dużo chęci rozkazywania innym. Pohop do komendy objawia się często jako niezdolność do czynów. Tego dobrego mieliśmy bezmiar.

Wygląda to nieprawdopodobnie a jednakże jest faktem, że najgłośniej brzmiącemi wyrazami, jakie opinia publiczna rzuciła w pustkę naszego życia podczas ostatnich lat, były autonomia i... prostytucya. Te dwie sprawy głównie wypełniały nam próżnię, one stały się źródłami najliczniejszych i najobfitszych kaskad wymowy w artykułach i odczytach. Pierwsza wyschła już zupełnie, druga leje się ciągle potokami. Bez prostytucyi nie możemy przeżyć jednego dnia. Walkuje ją prasa, urządza z niej wystawy katedra publiczna; nie wychodzimy z lupanarów, nie przestajemy obcować ze służebnicami rozpusty, pławimy się w tym błocie z zapamiętałością godną żab i miętusów. A jest to przedewszystkiem pławienie się. W tych artykułach, rozprawach, przeciągłych krzykach i moralizatorskich kazaniach nie ma nowego materyału, nie ma gruntownych studyów, nie ma oryginalnych punktów widzenia, tylko zjełczałe frazesy, wiązki osobistych spostrzeżeń i doświadczeń, które niczego nie uczą i niczego nie rozświetlają. Ale drażnią, — i to zapewnia im powodzenie. Prostytucya, jako zjawisko społeczne, wyszła z pracowni badaczów, gdzie ją rozważano pod osłoną powagi naukowej, i wepchnięta została w zupełnem obnażeniu na plac publiczny, gdzie ją oglądają amatorowie cuchnących przysmaków, eksrozpustnicy, moralne morfinistki, uczniowie i pensyonarki.

Na co nam to jest potrzebne? Czy można spodziewać się jakiegoś pożytku z tej frazeologicznej wody po obmytych wrzodach i z tego wylewania jej na ulice? Doprawdy czas już zaprzestać powszechnego babrania się w niej i pozostawić ją tym, którzy w laboratoryach nauki dokonywają analizy zjawisk społecznych.

Poseł Prawdy.

Wolna myśl i wolnomyśliciele.

Każde nowe zgrupowanie ludzi przejętych pewną ideą napotyka ze strony większości społeczeństwa ciężkie przeszkody i nieufność, a ze strony nieznoszących wszelkiego nowatorstwa konserwatystów — wyraźną wrogość. Aczkolwiek pierwszym krokiem każdej nowej organizacyi jest deklaracya jej zasad i celów, program działalności i metody pracy, to jednak zanim zdąży ona ustalić w opinii ogółu zdanie i sąd o niej zgodne z rzeczywistością, musi długo, czasem bardzo długo zwalczać wszelkiego rodzaju nieporozumienia rodzące się na skutek mylnego przypisywania jej cech i celów, jakich nie posiada; musi wyczerpująco dowodzić racyi swego istnienia, wskazując na potrzeby społeczne, na jakich się opiera; musi odpierać insynuacye rzucane przez wrogów; musi, wreszcie, usilnie baczyć, aby pod naciskiem opinii większości społeczeństwa, nie wkroczyć na drogę kompromisu, wiodącą ku wypaczeniu naczelnych, podstawowych jej zasad.

A cóż dopiero, jeśli ów pierwszy krok był postawiony niemocno, jeśli w łonie samych zwolenników pewnej idei i jej organizacyi nie zostały silnie ustalone wszystkie pojęcia z nową pracą związane, lecz przeciwnie, panuje zamęt pojęć?

Taki zamęt pojęć, tak wśród zwolenników, jak i przeciwników, panuje u nas w stosunku do budzącego się dopiero ruchu wolnej myśli.

Wydano kilkanaście broszur i książek, zapoczątkowano wystąpienia publiczne; zwołano zjazd; zaczęły wychodzić pisma, sprawom wolnej myśli poświęcone. Lecz zasad wolnej myśli i jej organizacyi jeszcze nie ustalono ściśle i szczegółowo. Stało się to przedewszystkiem z wielką szkodą dla samej wolnej myśli: praca wolnomyślicielska idzie nieudolnie, organizacyi niema prawie żadnej.

Nie trzeba naturalnie zapominać, że w naszych obecnych warunkach wszelka praca społeczna nie może się odbywać normalnie, mimo to jednak — dla rozwoju wolnej myśli nie wykorzystano wszystkich, już w obecnej chwili sprzyjających warunków i nie dokonano pracy zupełnie już możliwej, a mianowicie: pracy teoretycznej, polegającej na dokładnem, pozbytem wszelkiej szumnej i szkodzącej ruchowi frazeologii, wyjaśnieniu założeń, programu i organizacyi wolnej myśli.

Artykułem niniejszym pragnę ową pracę zapoczątkować.

Zaczynam od założeń.

Wolna myśl i jej program nie jest wyrazem interesów poszczególnej grupy czy klasy społecznej, lecz, przeciwnie, jest dążeniem do zapewnienia całemu społeczeństwu wolności myśli przez wyzwolenie z więzów społecznego, politycznego i religijnego dogmatyzmu. Określenie to wymaga z kolei wiele omówień, a przedewszystkiem definicyi owego potrójnego dogmatyzmu.

Dogmatyzm społeczny pojmuję, jako unieruchomianie pojęć moralnych i obyczajowych wbrew prawu ewolucyi moralności, czyli wbrew bezustannie rodzącym się nowym potrzebom moralnym i normom etycznym. Stopień dogmatyzmu społecznego, przesądów moralnych i przeżytków obyczajowych odpowiada zawsze niskiemu poziomowi umysłowej kultury danego społeczeństwa; kultura ta polega w pierwszym rzędzie na zdolności sankcyonowania nowych potrzeb moralnych przez opinię publiczną. Rozwijanie owego poczucia postępu musi się odbywać drogą stałego i metodycznego wykazywania względności nakazów i form moralno-obyczajowych społecznego życia. Metodyczne wyplenianie chwastów dogmatyzmu ułatwia moralny rozkwit społeczeństwa przyspiesza tempo jego postępu i rozprasza duszną i przytłaczającą atmosferę wzajemnego skrępowania więzami uświęconych przez wieki przesądów. Atmosfera niewoli moralnej jest poza wszystkiem zabójczą dla całego społeczeństwa, gdyż, po pierwsze, zabija wszelką indywidualność jednostek, które czy to swoim dorobkiem umysłowym czy twórczością wzbogacają kulturę danego narodu; powtóre zaś polega na ujednostajnieniu moralnych i duchowych dziedzin życia społecznego i indywidualnego,—a ujednostajnienie to jest równoznaczne z zamieraniem.

Dogmatyzm polityczny jest albo uznaniem naturalności istniejącego ustroju politycznego (dogmatyzm władz), albo jest uznaniem danej doktryny lub programu za absolutnie wierne ujęcie rzeczywistości i za jedynie zbawienne dla osiągnięcia największej szczęśliwości społeczeństwa (dogmatyzm partyi politycznych). Dogmatyzm partyi politycznych wyraża się w bezustannem naginaniu rzeczywistości do postulatów programowych; w sztucznem systematyzowaniu faktów i zjawisk rozwoju społecznego stosownie do powziętego zgóry stanowiska i zgodnie z apriorystycznemi doktrynami; w nieświadomem pomijaniu roli tych wszystkich zjawisk, które się do powziętej doktryny nagiąć nie dają; w sekciarstwie sprowadzającem wszystkie zagadnienia do jakiegoś jednego partyjnego mianownika; wreszcie i nadewszystko w owej iście religijnej, ślepej wierze w absolutną racyę i moc swego stanowiska. Wszelki duch wątpienia, analizy, sprawdzalności, poczucie hypotetyczności twierdzeń, szybkie oryentowanie się w konieczności zmiany tego lub owego punktu programu, ciągłe rozwijanie społeczno - politycznego światopoglądu — wszystko to jest obce dogmatyzmowi politycznemu, stanowi jego antytezę.

Szkodliwość tego dogmatyzmu tak dla całego społeczeństwa, jak i dla każdej poszczególnej grupy czy klasy reprezentowanej przez daną partyę, — jest aż nazbyt widoczną: wszelka formuła czy doktryna, którą wyznawcy wznoszą do potęgi nienaruszalnego pewnika staje się martwą i coraz dalszą od zmiennego życia wymijającego się z pod wszelkich dogmatycznych karbów; a przez to wszelka praca odbywająca się pod hasłem dogmatu skazaną jest prędzej czy później na bezowocność.

Trwonieniem energii, sekciarstwem i doktrynerstwem odznaczają się najbardziej społeczeństwa niewolne, nie posiadające politycznych swobód. Z braku doświadczenia, z braku samego życia i wykształcenia politycznego i na skutek cierpień sprowadzonych politycznym uciskiem wzrasta owo rozpaczne chwytanie się takiego lub innego dogmatu, jak jakiejś odwiecznej Prawdy; wyrabia się typ sekciarzy i fanatyków a partye nabierają cech sekt religijnych wpatrzonych w swoje artykuły wiary i w swój ideał. Nie należy też zapominać o istotnym wpływie ducha religijnego na psychologię partyi politycznych: religijność danego społeczeństwa musi mieć swoje ujście przy całkowitej nawet zmianie przedmiotów ślepej wiary. Z tej racyi, im bardziej dane społeczeństwo jest religijne, tem większy panuje w niem dogmatyzm polityczny.

Dogmatyzm religijny jest ślepą wiarą w t. zw. niezmienne i objawione prawdy odwieczne. Ślepa wiara — nie mówiąc już o przeróżnych jej formach t. j. o takim lub owym dogmacie religijnym — z istoty swej wyklucza wszelki krytycyzm myślenia, jest

zupełną abnegacyą rozumowania i tamą umysłowego rozwoju. Ślepo wierzący człowiek nietylko nie może uznać najoczywistszych faktów naukowych i życiowych przeczących jego artykułom wiary, lecz nawet nie dostrzega tych sprzeczności, jakie się znajdują w samym jego systemacie religijnym. W tych zaś wyjątkowych wypadkach, kiedy zastanowi go coś, co, zdawałoby się, może osłabić jego dogmaty—ma on znowu ratunek w postaci t. zw. „niezgłębionych tajników Opatrzności". Te „niezgłębione tajniki" są zawsze cementem spajającym i godzącym wszelkie sprzeczności. Jest to więc kompletny zanik zmysłu krytycznego.

Jako rzekomy posiadacz absolutnych prawd, człowiek ślepo wierzący nie odczuwa braku naukowych podstaw interpretacyi świata, nie może mieć pragnienia wiedzy naukowej, gdyż posiada gotowe odpowiedzi na największe zagadnienia, niepokojące umysł ludzki; zna praprzyczynę bytu, zna stworzenie świata, rozumie historyę wszechświata i ludzkości, która jest dlań historyą woli i opatrzności boskiej; zna dokładnie przyszłe życie na tamtym świecie i t. d. — nie ma dlań żadnych wielkich zagadnień. Ciemnota, w naszem naukowem znaczeniu, jest dlań światłem i wiedzą.

Do tego zaniku krytycyzmu dostraja się całkowicie ubogość potrzeb uczuciowych, potrzeb moralnych, duchowych i estetycznych. Moralność religijna ma za swoją podstawę strach kary i pragnienie nagrody boskiej w tem czy przyszłem życiu, — usuwa więc czynnik bezinteresowności w etyce, jest nawskroś egoistyczną; zaś przez lekceważenie doczesności moralność religijna uszczupla ogromnie potrzeby moralne i redukuje je do skrupulatnego spełnienia przepisów religijnych.

Do zwężonego horyzontu myśli dostraja się w równym stopniu redukcya potrzeb duchowych i estetycznych, zaspakajanych przeważnie w samej tylko świątyni, w jej dekoracyjności, nastroju, efektach, suggestyi i t. p.

Słowem—ślepa wiara jest zaprzeczeniem i tamą umysłowego, moralnego i duchowego rozwoju człowieka.

To już określa dostatecznie rolę tych władz duchowych, które wszelkiemi siłami starają się ową ślepą wiarę pielęgnować i podtrzymywać.

Nie mam tu na myśli tej lub owej religii, tego lub owego kleru, lecz charakteryzuję jedynie najjaskrawsze cechy dogmatyzmu religijnego, jako takiego, — tak samo, jak, charakteryzując dogmatyzm polityczny, nie miałem na względzie jakiejś jednej partyi politycznej.

Wszystko wyżej powiedziane daje już samo przez się następujące określenie istotnej roli wolnej myśli: *wolna myśl, zwalczając społeczny, polityczny i religijny dogmatyzm stanowi psychiczny motor postępu społecznego, motor z siły którego winny korzystać wszystkie postępowe żywioły, bez względu na różnice partyjne, ponieważ niezbędnym warunkiem każdej twórczej pracy, ewolucyjnej czy rewolucyjnej, jest wolność myśli, wolność sumienia i nauka.*

Winienem z kolei i konsekwentnie dać ścisłą odpowiedź na pytanie: kto jest wolnomyślicielem w pełnem znaczeniu tego miana? Uważam to za pytanie wielkiej wagi, tak wobec częstego uzurpowania sztandaru wolnej myśli dla celów nie mających z nią nic albo niezmiernie mało wspólnego, jak i wobec ciągłych nieporozumień, rodzących się na skutek przypisywania nazwie „wolnomyśliciel" różnych znaczeń.

Czy więc wolnomyślicielem jest człowiek, którego krytycyzm odrzucił tylko dogmaty religijne i który wystąpił ze swego kościoła? Nie. Jest on tylko bezwyznaniowcem, gdyż wyzwolił się dopiero z jednej z trzech kategoryi dogmatyzmu.

W tej mierze zaszło u nas wielkie nieporozumienie, któremu winna jest przedewszystkiem nieudolna działalność tych wolnomyślicieli, którzy dopuścili do zrównoznacznienia pojęć „wolnomyśliciel", „bezwyznaniowiec", a nawet „antyklerykał". Nie dawno też wolnomyślność przypisywano u nas N.-D-cyi z powodu jej zatargu z klerem katolickim w sprawie Macierzy. Bardziej już nie można obniżyć znaczenia i roli wolnej myśli. Nie jest wolnomyślicielem ani antyklerykał, który nie odrzucił dogmatów religijnych, ani bezwyznaniowiec, który nie uznając tych dogmatów, nie wyzwolił się jeszcze z dogmatyzmu politycznego i społecznego. I odwrotnie: nie jest wolnomyślicielem ten, któremu obce już jest wszelkie sekciarstwo polityczne i dogmatyzm społeczny, lecz dla którego istnieją nienaruszalne prawdy objawione.

Tak więc *wolnomyślicielem jest człowiek całkowicie wyzwolony z wszelkiego dogmatyzmu, człowiek nie stawiający sobie żadnych granic krytyki, sprawdzający wszelkie twierdzenia i poddający swoje zdanie wolnej krytyce innych.*

Błędem więc jest nadawanie miana wolnomyślicieli wszelkiego rodzaju odszczepieńcom i bezwyznaniowcom lub też, (co się często zdarza), abstynentom politycznym. Ci zaś bezwyznaniowcy i abstynenci, którzy sobie tę nazwę przywłaszczają, popełniają zwykłą uzurpacyę, lub w najlepszym razie nie zdają sobie dokładnej sprawy z istoty wolnej myśli.

Józef Wasercug.

Nauka i Sztuka

Przegląd nowszej literatury ekonomicznej.

(Dokończenie)

II.

Edward Strasburger: „Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Königreich Polen" (Inaug.-Diss. — München). Warszawa, (Druk K. Kowalewskiego) 1907. *J. Zagleniczny*. „Stan obecny kwestyi robotniczej na Zachodzie. Warszawa, (Skl. gł. u Gebethnera i Wolffa) 1907.

Blado wobec tych nietylko pulsujących życiem, lecz jednocześnie i naukowych prac rosyjskich przedstawia się nasz dorobek literacki. W stosunku do sumiennej rozprawy Strasburgera, który dał piękny przykład rodakom, składając fakultetowi monachijskiemu książeczkę drukowaną w kraju i tak szatą zewnętrzną jak i drukiem oraz korektą przewyższającą „dysertacye" niemieckie, jest to zarzut nieosobisty. Braki bowiem tej rozprawy są raczej koniecznym skutkiem opłakanego stanu naszych bibliotek, naszej statystyki i piśmiennictwa socyalnego. Bo i skądże miałby młody nasz uczony wziąć naprzykład dane dla stworzenia przeciwwagi do ankiety związku przemysłowców warszawskich z r. 1905, skoro ani źródła urzędowe ani publikacye związków zawodowych robotniczych materyałów takich nie zawierają? Wszak nawet ankieta, przez jedno z naszych towarzystw kulturalnych zainicyowana, dotąd urzeczywistnioną nie została!

Dlatego też ogranicza się Strasburger do skrzętnego zebrania materyału egzystującego. W pierwszym rozdziale szkicuje on na tle dziejów rozwoju wielkiego przemysłu „rozwój sprawy robotniczej w Królestwie", przyczem korzysta umiejętnie ze znanych prac Załęskiego, Janżuła, Róży Luxemburg, Koszutskiego i Radziszewskiego. Drugi, prawodawstwu pracy poświęcony rozdział jest za pobieżnie traktowany; ale nawet w tak pobieżnym szkicu, który wszak miał być „do ostatniego czasu doprowadzony" (str. 2), wypadało choć słowem o prawie z d. 10/VI 1903 „o starostach fabrycznych", o prawie 1906 r. o stowarzyszeniach i związkach i o przepisach 1906 r., stanowiących wypoczynek normalny w handlu i rzemiośle, napomknąć. Najlepsze są końcowe dwa rozdziały, dające nam—wciąż na podstawie wzmiankowanego materyału — przejrzyste zestawienie położenia robotników przed r. 1905 i po wielkiej fali strejkowej. Aczkolwiek porównanie to było może trochę za wcześnie zrobione (to oczywiście nie wina autora) i dzisiaj do innychby jeszcze wniosków doprowadziło, pracę D-ra Strasburgera witamy nietylko jako dobre źródło informacyjne dla zagranicy, lecz również jako cenny wkład do naszej literatury socyalnej, tak dotąd w prace naukowe ubogiej.

Natomiast pracy Zaglenicznego wartości tej, nawet z dodatkową etykietą książki „popularnej", żadną miarą przyznać nie mogę. Pomijam już brak proporcyi między poszczególnymi rozdziałami, mogący w mało lub wcale nie przygotowanym czytelniku opaczne wyrobić przekonanie, że traktowana na 16 str. „państwowa ochrona pracy" jest sprawą bez porównania mniejszej wagi od „ubezpieczenia robotników", któremu autor aż 4 razy tyle miejsca poświęca. Ważniejszą wadą jest niewłaściwy sposób przedstawiania takiego n. p. „ograniczenia pracy dzieci, młodzieży i kobiet"; zamiast w paru słowach ograniczenia te podać, dowodzi Zagleniczny słuszności interwencyi prawodawczej w tej sprawie. A przecie szeroki nasz ogół tak bardzo potrzebuje wiedzy pozytywnej, zamiast ogólników, którymi go do przesytu dotąd karmiono! Zamiast powiedzieć o Lord's Day Akcie angielskim, prawie belgijskiem 1905 i francuskiem 1906 r., co by się dało na 25 stronach uskutecznić, rozwodzi się Z. w rozdziale „odpoczynek niedzielny lub świąteczny" zatytułowanym nad tem, że w Anglii jedynem zajęciem niedzielnem robotnika staje się według jaskrawego określenia „wytrzeźwianie się po sobotniem upiciu" (str. 23). Kogo to ma zbudować? Najgorszem jednak lekceważeniem publiczności polskiej ze strony autora jest przypuszczenie, że nikt nie będzie w stanie sprawdzić jego informacyj liczbowych i faktycznych, nietylko z drugiej branych ręki, lecz nadewszystko ze źródeł przestarzałych czerpanych. Tak więc autor nasz podaje r. 1900 jako datę ostatecznego sformułowania niemieckiego prawa ubezpieczenia robotników na wypadek choroby, nowela 1903 r. jest mu oczywiście nieznaną. Statystykę ubezpieczenia robotników otrzymujemy w r. 1907 z r. 1899, gdy „Reichs-Arbeitsblatt" ogłosił był już wówczas statystykę tę do r. 1904; nie mówię już o tem, że urzędowa statystyka źródłowa zalega w Niemczech jeszcze mniej („Vierteljahrshefte" i „Amtliche Nachrichten des Reichs-Versicherungsamts"). Dość obszerny rozdział poświęca Z. „ubezpieczeniu od bezrobocia" i zdawaćby się mogło, że przynajmniej tutaj jest bardziej *au courant*; tymczasem tutaj właśnie przeoczył on najważniejsze zjawisko: gandawski system

ubezpieczeń od bezrobocia, który, jak wiadomo, od jakich 5—6 lat święci wszędzie niepodzielne niemal tryumfy, wypierając wszystkie inne systemy ubezpieczeń od bezrobocia. Panu Z. polecam prace L. Varlez'a, inicyatora i zasłużonego propagatora systemu gandawskiego, a zwłaszcza ostatnią jego pracę, bogatą zawierającą bibliografię.[1]) Przeoczenie tego jednego urządzenia nie brałbym autorowi tak dalece za złe, gdyby rozwój innych, przezeń opisanych, śledził uważniej; słyszymy odeń tymczasem, że „o dalszych losach i rozwoju ubezpieczeń w Bernie i St. Gallen w literaturze odnośnej nie znajdujemy żadnych informacyj, co pozwala nam przypuszczać, że instytucye te przestały funkcyonować, lub funkcyonują niezbyt pomyślnie" (str. 85). To się pisze i drukuje roku pańskiego 1907, gdy w roku poprzednim na półkach księgarskich już się była ukazała pomnikowa publikacya Niemieckiego Wydziału Statystyki Pracy przy Cesarskim Urzędzie Statystycznym, opisująca na 1400 z górą stronach in 4-o urządzenia asekuracyi od bezrobocia wszystkich krajów![2]) Pisząc o związkach zawodowych angielskich, nazywa je autor stale trades-unions, zamiast trade-unions, nie wiedząc zapewne, że pierwsza nazwa ma swoje ściśle określone historyczne znaczenie (Grand National Consolidated Trades-Union). Nic dziwnego, skoro w spisie literatury, z której Z. przy opracowaniu swej książki korzystał, brak klasycznego dzieła S. i B. Webbów o dziejach związków zawodowych angielskich.[3]) Ale brak tam i wielu, wielu innych jeszcze.

Czytelnik zgodzi się zapewne, że po takich próbkach ścisłości, które mógłbym zresztą pomnożyć dowolnie, trudno jest książkę pana Z. szerszemu ogółowi polecić. Jeżelim się tak długo nad pracą tą zatrzymał, to uczyniłem to z uwagi na życzliwe przyjęcie, jakie jej niezasłużenie w prasie fachowej zgotowano. Luka, którą książka ta mogła była wypełnić, świeci nadal otworem; a pracy naukowej, któraby szerszą publiczność z socyalnemi urządzeniami Zachodu zaznajomiła, istotnie bardzo i z wielu względów nam potrzeba.

Dr. N. Pinkus.

NA DOBIE

Kwestya słowiańska.

(Zebr. dysk. P Z P)

(Dokończenie).

Po referacie zabierają głos: p. *Pogodin* — mówca usprawiedliwia się, przedewszystkiem, iż przemawiać będzie po rosyjsku, gdyż, chociaż zna język polski, obawia się jednak znużenia słuchaczy powolnym dobieraniem wyrazów lub szukaniem zwrotów, właściwych w języku polskim.

Przykład słowian włoskich, marzących o pomocy „północnego stričeka", jest właśnie znamiennym dowodem łączności słowiańskiej i chęci zachowania swej narodowości i odrębności plemiennej.

A więc co, właściwie, łączy słowian?

Język, rzekł referent. W istocie rzeczy język jest dość miernym ogniwem łączności. Mówca, jako filolog, wie o tem najlepiej. Należy znaleźć ogniwo silniejsze, łącznik, obejmujący *wszystkich* słowian, jako całość. Łącznikiem takim jest, zdaniem mówcy, *świadomość słowiańska* (sławianskoje soznanje) i to nie antropologiczno-rasowa, lecz obyczajowo-kulturalna. Historya Rosyi i Polski wskazać może przykłady gorącego patryotyzmu elementów zasymilowanych (żydzi).

Mówca zadaje pytanie: jaką korzyść, z postępowego punktu widzenia przyniesie kulturze ludzkości utrzymanie idei słowiańskiej, — zachowanie przez narody właściwe cech indywidualności (odrębności) słowiańskiej?

Otóż, *obronne* łączenie się słowian w walce z szowinistyczną nawałą niemiecką doprowadzić musi do upadku i zaniku owego germańskiego zarazka wszystkich szowinizmów europejskich, a więc do postępu i rozwoju kultury ogólno-ludzkiej.

Mówca stara się dowieść tezy powyższej na przykładach z dziedziny polityki niemieckiej doby ostatniej, — wskazuje mianowicie na pangermańskie zakusy po wojnie rosyjsko-japońskiej, na zjazd książąt niemieckich w Wiedniu z okazyi jubileuszu Franciszka Józefa, na intrygi niemieckie w Marokku, w Turcyi, w Persyi, na walkę narodów Zachodu Europy (Francya, Anglia) z zaborczością niemiecką.

A, z drugiej strony, wskazuje mówca przykłady trudnej, lecz owocnej „obrony słowiańskiej" — walki z Niemcami Czechów, Serbów łużyckich, Chorwatów, Polaków.

W tej oto wspólnej potrzebie akcyi obronnej, a nie w objawach wzmożenia się reakcyi w Rosyi, (jak sądzi referent), upatruje mówca przyczyny wzmożenia się w czasach ostatnich idei porozumienia, idei Zjazdów słowiańskich; porozumienie zaś polsko-rosyjskie, interesujące obecnie cały świat słowiański, jest podstawowym warunkiem powodzenia zarówno Zjazdów, jak i wogóle, całej walki obronnej Słowiańszczyzny.

P. *Polak* pragnie zwrócić uwagę na stronę uczuciową narodowego uświadomienia w poszczególnych odłamach świata słowiańskiego. Niewątpliwie istnieje jeszcze coś prócz języka, co łączy i spaja słowian. Ale z drugiej strony istnieją również porachunki wzajemne pomiędzy oddzielnymi narodami słowiańskimi, i one właśnie utrudniają zbliżenie całkowite. Zjazd słowiański, jak i wszelki inny, powodzenie rokować może jedynie wtedy, gdy oparty będzie na szerokiej solidarystyczno-demokratycznej podstawie łączności wszystkich narodów kulturalnych. W każdym razie, należy uprzednio przygotować starannie grunt dla Zjazdu, jeśli ma on istotnie, w dzisiejszych warunkach, do pomyślnych doprowadzić wyników.

P. *Lemański*: Referent i następny mówca (p. Pogodin) oświetlili „kwestyę słowiańską" z pesymistycznego i optymistycznego stanowiska. Mówca nie podziela ni jednych, ni drugich poglądów. Należy poszukać trzeciego właściwego łącznika poza *tylko* językiem, lub *aż* świadomością ogólno-słowiańską.

Język jest środkiem do ujawnienia naszej myśli, naszej twórczości duchowej. Tutaj mówca upatruje zaczątki solidarności słowiańskiej. Posiadamy wspólne dobra duchowe: mamy wspólne interesy, wspólną jest obrona przed „niebezpieczeństwem" niemieckiem, które zagraża wszystkim słowianom, którego zatem ni lekceważyć, ni z interesami jedynie poszczególnych narodowości słowiańskich wiązać nie należy.

Wspólność interesów—oto pierwszy istotny łącznik międzysłowiański. Lecz istnieje jeszcze łącznik drugi, wielce ważny w przyszłości. Jest nim demokratyzacya społeczeństw słowiańskich. Historya czeska doby ostatniej stwierdza dowodnie: jaką wielką rolę czynnik ów—zjawienie się nowych świeżych, zdrowych elementów—odegrał w walce z zaborczością germańską.

Wspólność interesów międzysłowiańskich na gruncie demokratycznym — oto hasło nowo-słowiańskie i zarazem jedyna podstawa dla celowych zjazdów słowiańskich, w przyszłości.

Od określenia podstawowego stanowiska przechodzi mówca do rozbioru przyczyn faktycznych, utrudniających obecnie porozumienie się słowian.

Jedyne niezależne państwo słowiańskie prowadzi politykę filoniemiecką i to w chwili, gdy ironiczny „hołd pruski" w Wiedniu tak dosadnie ujawnia pangermańskie tendencye Niemiec współczesnych. Państwo słowiańskie, o którem mowa, prowadzi politykę niemiecką nie tylko na zewnątrz; na wewnątrz polityka jego jest również przeciw-słowiańska, gdyż oparta na krępowaniu samoistnego kulturalnego rozwoju innych narodowości słowiańskich. I oto narodowości owe — miast w imię wspólnych interesów słowiańskich — zmuszone są walczyć przedewszystkiem, w imię elementarnych własnych interesów—narodowych.

P. *Konic*: Dążenia emancypacyjne poszczególnych narodowości słowiańskich nie spoczywają na *wszech*słowiańskiej podstawie. Każdy naród słowiański dąży do zachowania i utrwalenia *swej* samodzielności narodowej. W tym względzie dążenia Polaków w państwie Rosyjskiem łączą się z usiłowaniami innych narodowości — niesłowiańskich, — Litwinów, Łotyszów, Tatarów, Ormian. Walka zatem narodowości słowiańskich ściśle się wiąże z walką wszystkich ludów, dążących do wolności, a krępowanych w swym samoistnym rozwoju kulturalnym przez daną narodowość „panującą".

Walki Niemców i Włochów o wolność narodową były walkami narodowości, z których każda stanowiła odrębną jednostkę etniczną. Odrębne również jednostki etniczne stanowią poszczególne narody słowiańskie, dla tego też sztucznem jest dążenie do jednolitego państwa Wszech-Słowiańskiego lub choćby tylko do wszech-słowiańskiej federacyi. Wśród nas, Polaków, idea słowiańska nie cieszyła się sympatyą dlatego że zawsze łączyła się z „panowaniem" jednego lub paru narodów słowiańskich nad pozostałymi.

Oto dlaczego nowe porozumienie międzysłowiańskie niema i mieć nie może historyi zapożyczanej z doby przed wojną ostatnią; lub z wzorów niemieckiego i włoskiego. Podstawą tego *nowego* porozumienia musi być przeświadczenie, że nie wolno zarówno narodom słowiańskim jak i niesłowiańskim dusić się wzajemnie, — nie wolno Polakom dusić Rusinów, nie wolno Rosyanom dusić Polaków, i dopóki duszenie owo się nie skończy, żaden Zjazd *wszech*-słowiański pomyślnego skutku nie osiągnie. Zjazd *między*-słowiański, celowy i pożyteczny oparty być winien na ogólno wolnościowych podstawach, utrwalających porozumienie między równymi narodami słowiańskimi, jako etap przyszłej łączności i porozumienia wszystkich ludów—kulturalnych.

P. *Moszczeńska*. mówczyni zastanawia się nad punktem wyjścia przemówienia p. Pogodina, — pojęciem „świadomości" słowiańskiej. Zjawia się ona tam, gdzie ścierają się narodowości odmienne. Świadomość ta może być poczuciem odrębności od

---

[1]) *Louis Varlez*: Die Bekämpfung der Unfreiwilligen Arbeitslosigkeit, art. w „Soziale Kultur", Marzec 1908, str. 143—179. Z dawniejszych prac Varlez'a wymieniam: Les formes nouvelles de l'assurance contre le chômage, Paryż, (Rousseau) 1903 i Le plan Social de Gand, Budapeszt (Soc. An. d'Imprimerie de Pest) 1897.

[2]) Die bestehenden Einrichtungen zur Versicherung gegen die Folgen der Arbeitslosigkeit im Ausland und im Deutschen Reich, 3 t., Berlin, (Carl Heymans).

[3]) History of trade-unionisen.

innych rasowo elementów, lub poczuciem wspólności z elementami rasowo pokrewnymi. Świadomość np. ludu górno-sląskiego była, przedewszystkiem poczuciem odrębności od Niemców, a następnie dopiero przeobraziła się w poczucie łączności z polskością; pierwotnie zjawiła się świadomość ucisku, potem świadomość łączności. Pod wpływem ucisku pruskiego obudziła się w Poznańskiem świadomość łączności z Rosyą. Poza Poznańskiem nie istniała ona na ziemiach polskich. Nie istniała w Galicyi, nie istniała, z łatwo zrozumiałych powodów — w Królestwie. Otóż przyczyny obecnego wzmożenia się idei słowiańskiej, upatruje mówczyni (równie, jak i p. Pogodin) nie w reakcyi (referent), lecz w zaostrzeniu się stosunków na granicach etnograficznych. Mówczyni nie byłaby przeciwna idei Ligi Słowiańskiej o tendencyach nie zachłannych, lecz obronnych: wielkie znaczenie mogłaby mieć Liga, broniąca przed „panowaniem" prusko-niemieckiem słowiańskie i niesłowiańskie narody. Do Ligi tej możnaby było pociągnąć Anglików, Francuzów, Duńczyków. Lecz poza obroną przed Niemcami nazewnątrz, przyszła Liga baczyć winna na wewnątrz, by oparta była na nowych zdrowych podstawach. Składać się ona musi z równouprawnionych jednostek narodowościowych, mających zobopólnie dobrze zagwarantowane interesy.

Mówczyni polemizuje z przesadnym pesymizmem co do projektowanego Zjazdu Słowiańskiego w Pradze Czeskiej. Dominowanie na Zjeździe tych, lub owych (odmiennych przekonaniowo) żywiołów jest rzeczą względną. Mogą organizować Zjazd jedne elementy, a przyjść, wbrew oczekiwaniu, nawet do głosu decydującego — drugie.

Dlatego też możeby lepiej było, by grupy postępowe od udziału w Zjeździe się nie uchylały.

P. *Łopatin* (przemawia po rosyjsku). Kwestya słowiańska jest kwestyą tak skomplikowaną, że, rzecz prosta, nie mogło być mowy o rozstrzygnięciu jej w chwili obecnej. Należy jednak sprawę wyjaśniać, przygotowywać grunt właściwy. Referent w swem pesymistycznem co do tonu ogólnego przemówieniu opiera się, zdaniem mówcy na źródłach niemieckich i francuzkich, gdy w istocie rzeczy, należy sięgnąć do źródeł słowiańskich i na nich sąd swój gruntować. Kwestya słowiańska istnieje — to fakt; podstawą jej — wspólny interes słowiański, a ideałem rozwoju — federacyjny związek słowiański w przyszłości. Lecz, by się powoli zbliżać do wskazanego celu, należy zbudować trwałą podstawę demokratyczną: żadna z narodowości słowiańskich nie może nastawać (posiagat') na prawa innej narodowości słowiańskiej, a wszystkie — stosować równą miarę wolnościową do narodów niesłowiańskich. To da moc i wiarę w pomyślne rozwiązanie sprawy słowiańskiej w przyszłości.

P. *Życki* podnosi potrzebę i celowość Zjazdu demokracyi słowiańskich w przeciwstawieniu do Zjazdów słowiańskich o tendencyach panslawistycznych dawnego pokroju. Mówca obawia się, że szereg projektowanych wstępnych konferencyi słowiańskich (w Petersburgu, a następnie w Pradze, Moskwie) taką właśnie nacyonalistyczną postać przybrać może. A wtedy, miast korzyści, mielibyśmy jedynie skutki ujemne.

Pp. Brześciański, Białobrzeski, a następnie przewodniczący poświęcają kilka uwag (informacyjnych) zbliżającej się konferencyi petersburskiej, jej inicyatorom i organizatorom głównym, poczem zabiera głos po raz wtóry referent.

Widzi on w poglądzie prof. Pogodina, że słowian łączy w jedną całość świadomość słowiańska (słowianskoje soznanje) pewien odcień mistycyzmu. Serb i Czech są słowianami raczej w tym znaczeniu, w jakim Niemiec i Duńczyk są germanami.

Gdyby w Europie zapanowały zasady demokratyczne, to idea łączności czy solidarności słowiańskiej byłaby mniej możliwą niż n. p. myśl o separatyzmie nacyonalistycznym między Szwajcarami mówiącymi po niemiecku i po francusku. Nowoczesna demokracya nie może budować ani na czynnikach rasowych, ani na czynnikach wyznaniowych.

Z punktu widzenia demokratycznego idea łączności słowiańskiej da się usprawiedliwić jako wywołana koniecznością obrony od pangermanizmu. I nie można zaprzeczyć, że polityka dawnej centralistycznej Austryi, oraz współczesnych rządzonych przez junkrów pruskich Niemiec, tej ostoi reakcyi wrogiej wszelkiej wolności i demokracyi u siebie i w Europie, była i jest jej najdzielniejszą choć mimowolną propagatorką, jak niegdyś Krzyżacy byli twórcami unii Polski i Litwy, pomimo różnic rasowych, zachodzących między Polakami i Litwinami.

Ale pamiętać należy, że współczesna idea słowiańska jeżeli nie ma się stać reakcyjnym hamulcem postępu społecznego,a nawet narzędziem ucisku jednych słowian przez drugich, jak dawny panslawizm, musi się oprzeć nie na rasowem pokrewieństwie, nie na mistycznej wierze w zalety i posłannictwo słowian, lecz na nowoczesnych zasadach wolności, równości i braterstwa ludów; musi być częściowem tych ogólno ludzkich haseł na gruncie słowiańskim wcieleniem, musi bezwzględnie odtrącić tych co wolności tej i równości są przeciwni, a niewolę i ujarzmienie polityczne i kulturalne jednego z największych narodów słowiańskich, za zgodne z „duchem słowiańskim" uznają i ze swemi uczuciami braterstwa słowiańskiego łączyć pragną.

Może ona odegrać wtedy pewną rolę nie tylko jako liga obronna przeciw pangermanizmowi, ale jako forma przejściowa, osłabiająca wybujałe nacyonalizmy, i „egoizmy narodowe" pojedyńczych ludów słowiańskich, ułatwiająca im przyjęcie zasad humanitarnych.

P. Rappaport zawiadamia zebranych o przedmiocie i terminie następnego zebrania dyskusyjnego PZP(ostatnie przedwakacyjne: „Polityka Rosyi"; referent p. Henryk Konic), poczem przewodniczący zebranie zamyka.

* * *

(*R-t*) *Tydzień słowiański* w Petersburgu, skończył się *poniedziałkiem słowiańskim* — w Warszawie.

Posłów Kramarza, Hribara i Hlibowickiego oczekiwał w dn. 1 b. m. na dworcu petersburskim komitet, organizujący przyjęcie w mieście naszem. Następnie, w godzinach południowych odbyły się narady poufne delegatów słowiańskich z zaproszonymi przez Adama hr. Krasińskiego kilkunastoma przedstawicielami społeczeństwa polskiego. Omawiano warunki postanowionego w Petersburgu Zjazdu w Pradze.

Zarząd Polskiego Zjednoczenia Postępowego ni w komitecie, organizującym przyjęcie, ni w prywatnej naradzie u hr. Krasińskiego udziału nie brał, natomiast wziął udział w uczcie wieczornej w Resursie Obywatelskiej, by módz swe stanowisko w obecnem stadyum skomplikowanej kwestyi nowo-slawizmu określić i uwydatnić szereg zastrzeżeń zajętemu przeciw stanowisku — bez zastrzeżeń, zajętemu przez p. Romana Dmowskiego w naradach petersburskich.

Z dwu wyznaczonych mówców P. Z. P., pp. Henryka Konica i Wacława Łypacewicza, zdążył wypowiedzieć się — przed odjazdem delegatów słowiańskich jedynie p Henryk Konic, którego przemówienie zamieszczamy poniżej:

> Goście, których dziś w swoim gronie widzimy, przyjechali do Polski pod hasłem solidarności słowiańskiej. Lecz cóż oznacza owe w zasadzie swej piękne pojęcie solidarności słowiańskiej?
>
> Zazwyczaj i mimowoli szukamy dla niej porównania z pokrewnemi ideami pangermanizmu i panitalizmu. Lecz połączenie zarówno niemieckie jak i włoskie, było zjednoczeniem państwowem jednego i tego samego narodu i tej samej grupy etnicznej. Slawizm to rzecz całkiem odrębna; obejmuje on ludy, z których każdy posiada swoistą kulturę,swoisty język, swoiste pragnienia i cele. Zjednoczenie takich organizmów to zespół równych z równymi, zespół obcy wszelkiej przewadze, zespół, w którym przed wszystkiem górować muszą wielkie idee równości i wolności, wielkie idee demokratyczne, które nowożytnym ugrupowaniom państwowym i społecznym przewodzić muszą.
>
> Tylko mowa, która takie zasady głosić będzie, może być wszechsłowiańską, zrozumiałą dla wszystkich narodów słowiańskich; zrozumiałą, bo będzie ona ogólnie ludzką, która kiedyś, wierzyć w to trzeba, będzie wspólną dla wszystkich narodów, bez względu na rasę i pochodzenie.
>
> Godłem naszego narodu jest orzeł biały. Pod jego skrzydłem znaleźć się mogą i winni wszyscy tej ziemi mieszkańcy bez różnicy pochodzenia i wyznania.
>
> Jeśli ponad orłem polskim szybować ma orzeł słowiański, to tylko taki, którego szpony nie wedrą się w nasze nietykalne prawa.
>
> W takim tylko znaczeniu i wyłącznie takim, będzie kwestya polska bez zastrzeżeń kwestyą słowiańską.
>
> Wierzymy szczerze, że goście słowiańscy są wyobrazicielami tak przyjętej, tak odczutej sprawy słowiańskiej.
>
> Niech żyją!

Wszechstronnemu rozważeniu — z naszego stanowiska — kwestyi „nowo-slawizmu", warunków Zjazdów słowiańskich i podstaw porozumienia międzysłowiańskiego, poświęcimy niebawem szereg artykułów zasadniczych.

* * *

Tydzień słowiański skończony. Wytworzył on podobno nowe stanowisko dla narodu polskiego w „rodzinie narodów słowiańskich". *Nowoje Wremia* twierdzi że:

> „imperatyw historyczny skłonił Polaków do przypomnienia sobie swego pochodzenia słowiańskiego. Postanowili obrócić front ze Wschodu na Zachód i budować dalszą pomyślność narodu polskiego na tym fundamencie, którym tak ślepo gardzili dawni twórcy losów Polski".

Prasa ulegająca wpływom teraźniejszych kierowników polityki polskiej przedstawia rzeczy w innem świetle i twierdzi, że podczas owego tygodnia właśnie:

> ...„dzięki narodom słowiańskim przedstawiciele polityki rosyjskiej zostali zmuszeni do mówienia o kwestyi polskiej w innym zupełnie tonie, niż ten, który usiłują w Dumie wprowadzić a..., te kilka dni pozostawia niemały rezultat w świadomości szerokich kół opinii rosyjskiej i jej kierowników politycznych, a nawet

rządowi otworzyły one oczy na fakty, z których dotychczas niejasno zdawał sobie sprawę" (*Głos Warsz. Nr. 66*).

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w politycznym rachunku, w którym odcienia subtelne grają rolę ułamków, nieskończenie małych, a tylko dodawane i zestawiane są fakty proste, takim nowym prostym faktem jest zamanifestowanie przez Polaków po raz pierwszy gotowości do wejścia na podstawę idei słowiańskiej i do spróbowania, czy na tej podstawie nie da się poprawić doli narodowej Polaków w Królestwie Polskiem.

A niektórzy politycy polscy sądzą, że może to dopomódz nietylko Polakom w państwie Rosyjskiem, ale także Polakom w państwie Niemieckiem. Należy do nich przedewszystkiem L. Straszewicz, który

„Czujemy, rozumiemy, że naród cały rzucić się winien na pomoc, na ratunek zagrożonej śmiertelnie dzielnicy. I stoimy bezradni — bo my słabi — a oni siłą, oni przemocą. Chwytamy się zawsze myśli bojkotu towarów niemieckich — i ta zawsze zawodzi. Kto dziś naprawdę wierzy w powodzenie bojkotu? Kto się spodziewa, że ta groźba wpłynie na Niemców, że może skłonić ich do zaprzestania czegokolwiek? Gdyby nawet bojkot nam udał się całkowicie, byłby on dla Niemców ukłóciem szpilki; z tego powodu nie zaniechaliby niczego. Gdy słaby musi toczyć walkę z silnym — szuka sprzymierzeńców. Tak się dzieje zawsze i wszędzie.

...Gdzie sprzymierzeńców szukać mamy, gdzie ich znaleźć możemy? Oczywiście tylko wśród słowian. Przeszłość zbyt jaskrawo chyba dowiodła, iż rachuby na „Napoleona", na wojny i rewolucye wszecheuropejskie są tylko źródłem coraz nowszych, coraz głębszych klęsk. Kto tego nie wie, kto tego nie widzi — ten nad dolą Ojczyzny nie rozmyśla... W tej ciężkiej chwili naszego bytu sprzymierzeniec zjawia się sam, w imię braterstwa, w imię przyszłości lepszej. Pozdrawia nas hasłem: równość, wolność! I my mamy tę dłoń odtrącić? O Polskę chodzi! Mamy zachować się obojętnie? Dlaczego? W imię jakich względów? Na podstawie jakich rachub czy obaw? Solidarna słowiańszczyzna to potęga wielka. Jej lekceważyć nie ośmieli się nikt. Ona potrafi obronić zagony ziemi słowiańskiej od wyciągniętych pazurów germanizmu. Niech słowiańszczyzna się porozumie i złączy w poczuciu wspólnego interesu narodowego ludów, a przestaniemy drżeć o losy Wielkopolski".

Wynika z tego, że „tydzień słowiański" wzbudził istotnie w pewnych polskich umysłach nawet nadzieję... przyszłej chyba wojny słowiańsko-niemieckiej w interesie uratowania narodowego bytu Wielkopolan. „Platoniczno-kulturalne zbliżenie słowiańskie" nie ochroni ani jednego zagona polskiego od germańskiego pazura — to jest jasne. Mogą to zrobić tylko armaty i bagnety, o ile naturalnie i ich potęga nie zostanie zlekceważona przez lepsze armaty i lepiej używane bagnety. Zespolenie się słowian w jedną organizacyę państwowo-militarną dla powalenia potęgi niemieckiej — bajeczny to zaiste pomysł. Szkoda tylko, że gdyby został podniesiony przez jedyne państwo, które go podnieść może, Niemcy nie czekałyby zapewne na urzeczywistnienie światoburczego planu i umiałyby odebrać jego twórcom wolność czynu. To też nikt w Rosyi ani przez sen podobnej chimery nie pieści — a drżenie o losy Wielkopolski nawet w najczulszem słowiańskiem zespoleniu kulturalnem pozostawione będzie zawsze tylko naszym własnym nerwom i sercom. Chyba tedy gorączka ostatecznych zwątpień mogłaby w nas wmówić, że od naszych własnych trosk uwolni nas ktoś obcy, komu owe troski były, są i będą — Hekubą...

Z „dawnych twórców losów Polski" miał przez krótki czas podobne złudzenie książę Czartoryski, kiedy był ministrem Aleksandra I-go. Jeżeli w okresie kongresu Wiedeńskiego i potem jeszcze po wojnie krymskiej, w okresie prób Wielopolskiego, pojawiały się hasła „pobratymstwa", punktem wyjścia dla tych haseł było już tylko ułożenie znośnego stosunku Królestwa Polskiego do Rosyi. Wytworzenie znośnych warunków dla bytowania Polaków w państwie Rosyjskiem było potem wogóle przewodnią licznych pism prof. Spasowicza. Nikłość i próżność tej podstawy wykazywały jednak fakty dziejowe. Pobratymcza miłość w słowiańszczyźnie, a i nietylko w Słowiańszczyznie, bywa miłością która dusi i dławi. Jakiż być może powód powrotu do tych prób? Co p. Dmowskiego i jego stronnictwo upoważnia do nadziei, że tym razem wyniki mogą być inne, pomyślniejsze? Wyjaśnia to petersburski korespondent *Głosu Warsz.*:

„Przedstawiciele polityki rosyjskiej zmuszeni zostali do rozprawy w kwestyi polskiej przy świadkach bezstronnych do rozprawy, w której nie można było traktować Polaków jako „inorodców" poddanych narodu rosyjskiego, ale jako naród stojący na równi z rosyjskim w świecie słowiańskim, naród samoistny, historyczny, z wysoką kulturą, naród, którego istnienie nie zamyka się w granicach państwa Rosyjskiego i który ma znaczenie nietylko w wewnętrznej ale i w zewnętrznej polityce państwa. Jak słusznie zauważył jeden z uczestników narad, kwestya polska, której nie udało się rozwiązać z punktu widzenia wewnętrznej polityki rosyjskiej, zjawiła się w całej pełni w oświetleniu zewnętrznej polityki państwa".

Polityka zewnętrzna mocarstw europejskich naradza się prawie wyłącznie na kabałach dyplomatycznych. Do kabały dyplomatycznej ma wielką skłonność dzisiejszy przywódca polityki polskiej w Petersburgu i ślepo wierzy w „zbawienie w dyplomacyi". Z tej też wiary narodził się jego nagły poryw słowiański, który doszedł do wybuchu podczas pierwszej narady przy drzwiach zamkniętych u p. Kowalewskiego. To co się redakcyi *Now Wrem.* wydaje „imperatywem historycznym", jest tylko nową bramką, w którą popycha kulę polską zręczny krokiet jakiegoś dyplomaty. Kula polska służyła już zbyt często do gier najniegodziwszych — to też niepodobna bez poważnej trwogi patrzeć, że znowu zaczyna ni stąd ni zowąd biegnąć w kierunku z zewnątrz nadanym. Ma zapewne popchnąć jakąś inną kulkę, i skomplikować grę, aby potem znów wejść w stan martwy, gdy już przestanie być potrzebną...

Na zapytanie postawione przez L. Straszewicza „dlaczego mamy zachować się obojętnie, w imię jakich względów? na podstawie jakich rachub czy obaw?". Dla łatwo zrozumiałych względów trudno znaleźć w prasie polskiej dokładną i ścisłą odpowiedź. Próbuje dać jednak tę odpowiedź p. T. G. w *Gońcu*:

„Panslawizm z całą swą socyologią, filozofią, etyką nie był niczem innem, jak ideologią imperyalizmu rosyjskiego. Liczne szczepy słowiańskie, ciągnące się od Bałkanów do środka Europy, miały pełnić w jego pojęciu rolę forpoczt tryumfalnego pochodu rosyjskiego, a każda manifestacya łączności słowiańskiej miała ożywiać powyższe aspiracye. Panslawizm stanowił atut czynnej polityki rosyjskiej.

Dzisiaj nuta ta, ze zrozumiałych powodów nie może rozbrzmiewać głośno i wyraźnie. Podnoszenie haseł wyzywających nie jest bynajmniej na dobie. Zresztą panslawizm, będąc środkiem polityki agresywnej, zbyt ściśle sprzymierzał się z reakcyą w dziedzinie polityki wewnętrznej. W swej dawniejszej postaci nie jest on odpowiedni do obecnych czasów i dzisiejszych potrzeb. Jeżeli ma nadal oddawać usługi rosyjskiej idei państwowej, musi zdobyć nową formę, nowe środki, poniekąd nawet odnowione dążenia. Jakiż tedy ma być ów panslawizm teraźniejszości i przyszłości?

Otóż tutaj zaczyna się zadanie, z którem poradzić sobie będzie bardzo trudno. Na razie rozwiązuje się je w ten sposób, iż na pierwszym planie stawia się cele kulturalne. Panslawizm dawniejszy był polityczny, dzisiejszy będzie kulturalny. Na tym gruncie przedewszystkiem ma wzrastać i rozwijać się jedność słowiańska. Takiemu wszakże programowi brak pierwszego kardynalnego warunku — naturalności. Żadnej bowiem wspólnej kultury słowiańskiej niema i nie było. Wpływy kulturalne nie łączyły, lecz dzieliły Słowian. Przecież nawet Czesi, ci sami Czesi, którzy tak dzielnie walczą z Niemcami, ulegli ich wpływom kulturalnym tak dalece, że sami robią czasem wrażenie Niemców, mówiących po czesku. Nic, na kulturze ogólnosłowiańskiej nie wiele się zbuduje. Trzebaby do tego specyalnego rodzaju entuzyastów.

Podobno w wiekach średnich trubadurzy na zabój zakochiwali się w kobietach, których na oczy nie widzieli, a jest to znacznie jeszcze łatwiej, niż zapalić się do kultury słowiańskiej. Czasy nasze są o wiele pozytywniejsze, niż wieki średnie i entuzyastów podobnego rodzaju nie wychowują. Owa kultura, szczerych adoratorów nie znajdzie.

Znajdzie zapewne agitatorów, którzy będą szerzyli propagandę panslawistyczną w celach politycznych. Cele te zasadniczo nie będą się różniły od dawniejszych. Co więcej nawet, pozorne odświeżenie metod i środków okazuje się dość trudne. Panslawizm wyżłobił sobie określone koryto, w które spływały zawsze różne strumienie szowinistyczne i reakcyjne. Tak było przez czas długi i naturalną drogą musiały się wytworzyć w psychice „słowiańskiej" odpowiednie nalogi. Nowy prąd płynie dotychczas wązkiem, bardzo wązkiem łożyskiem; o ile się prędko rozszerzy, z natury rzeczy wchłonie pierwiastki stare i upodobni się do dobrze nam znanego panslawizmu. Trzeba pamiętać że reakcya szowinistyczna srozy się na dobre i nawet żywioły liberalne muszą jej robić pewne koncesye dla zachowania resztek wpływu i powagi".

Przebieg tygodnia słowiańskiego aż nadto usprawiedliwił te obawy. W kilka dni potem mógł już twierdzić tensam publicysta

„obóz postępowy nie odgrodził się bynajmniej określoną linią demarkacyjną od p. p. Buszmakowów, Filewiczów, Kułakowskich, Wergunów i t. p. Utworzyła się na cały tydzień rozczulająca sielanka, w której trudowicy przechadzają się obok czarnosocieńców. Dopiero cieszyłby się Komarow, gdyby to widział — zauważa naiwnie reporter ż *Birżewych Wiedomostiej*. Byłoby wielką niesprawiedliwością z naszej strony zarzucać słowianofilom rosyjskim, jakoby zbytnią uprzejmością i miodowemi słówkami powiedli naszych polityków na pokuszenie i skazali ich na jutrzejsze rozczarowanie. Zarzut taki byłby z gruntu niesłuszny. Słowianofile aż nazbyt wyraźnie okazują Polakom, że nie mają zamiaru sobie robić z nimi ceremonii nawet w ciągu uroczystych tygodni.

Dodać należy, że kiedy p. Milukow odważył się publicznie zaznaczyć, że nowy ruch nie może mieć nic wspólnego ze słowianofilstwem *Słowo* petersbuskie, odnowieńcze i polonofilskie, skarciło dowódcę kadetów za nietaktowne wprowadzanie rozdźwięków w słodką harmonię wszechsłowiańską. Kadetom znowu, którzy po gościnie konstytucyjnych słowian obiecywali sobie przeważnie pomyślne skutki dla konstytucyonalizmu rosyjskiego, nie w smak poszło, że goście zbyt mało mówili o konstytucyi a zadużo o Niemcach.

„Zaznaczyliśmy i zaznaczamy, pisze *Riecz*—że nie należy dopuszczać do wspólnej sprawy słowiańskiej tych odcieni nastroju specyalnie austryackiego, jakie od czasu do czasu dawały się słyszeć w mowach naszych gości. W tym wypadku nawet w sprawach wyłącznie politycznych trzymamy się zasady: rozważać je ze stanowiska współzawodnictwa spokojnego i kulturalnego".

A p. Straszewicz liczył nawet na „obronę zagonów wielkopolskich". Oczywiście wszelkie obrony i ataki zależą tylko od tych sfer rosyjskich, które przemawiają ze szpalt *Rosiji* i *Now. Wrem.* A stamtąd otrzymaliśmy po wyjeździe „apostołów", dowód, że „sfery" innemi już odtąd oczami patrzą na kwestyę polską; ostrzeżenie, że barometr polityczny zaufania do Polaków leży... w „Galicyi i Chełmszczyźnie"... „Polacy muszą wreszcie zrozumieć — pisze p. Filewicz w *Now. Wrem.* — „że jakie pomagaj Boże na Dniestrze i Bugu, takie Bóg zapłać na Wiśle".

Syromiatnikow w *Rosiji* daje nam taki wykład: „Myśmy stworzyli państwo, my musimy dbać o nie. Cieszylibyśmy się, gdyby Polakom było w niem dobrze, ale któż jest najokrutniejszym ich wrogiem jeżeli nie oni sami. Niech pójdą do dobrych nauczycieli:— Czechów i nauczą się od nich dyscypliny niemieckiej"... No, no — poseł Kramarz w Dumie wszechsłowiańskiej jako opozycyonista zachowywałby się mniej potulnie niż p. Dmowski. Inna rzecz, gdyby był jej prezydentem: nie szanowałby wówczas z pewnością regulaminu i wzywałby policyę do usunięcia opozycyi. Wszak widzieliśmy go w Wiedniu w obydwóch rolach.

(*k-g*).

Stulecie kodeksu Napoleona.

Publicznem posiedzeniem w sali Muzeum przemysłu obchodziło Towarzystwo Prawnicze jubileusz Kodeksu Napoleona. Myśl uczczenia przez nasz świat prawniczy setnej rocznicy wprowadzania u nas Kodeksu Napoleona, jak zaznaczył w wstępnem przemówieniu prezes Tow. p. K. Dunin, podniesiona została jeszcze w 1902 r. na jednem z posiedzeń delegacyi ekonomiczno-prawnej przy sekcyi handlowej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i znalazła swój wyraz w wyłonieniu specyalnej komisyi, która w następstwie opracowała plan prac jubileuszowych. Postanowiono wydać szereg monografij z zakresu naszego prawa cywilnego i poczyniono przygotowania w tym kierunku. Wypadki lat ostatnich nie pozwoliły jednak na wykonanie tego rozległego projektu. Tow. Prawnicze, podejmując na nowo inicyatywę obchodu jubileuszowego, było zmuszone brakiem czasu do poprzestania na urządzeniu publicznego posiedzenia Towarzystwa oraz wydaniu jubileuszowego numeru *Gazety Sądowej*.

O wpływie Kodeksu Napoleona na nasze życie społeczne mówił p. K. Dunin. Oto dosłowne brzmienie paru ustępów jego przemowy. „Chcąc należycie ocenić wpływ kodeksu Napoleona na nasze społeczeństwo, a zarazem wyjaśnić poruszoną sporną kwestyę, to jest czy narzucenie go nam zasługiwało i zasługuje na uznanie i sympatyę, należy zwrócić uwagę na chwilę, w której wprowadzony został. Była to epoka przełomowa nietylko dla nas, ale i dla całego cywilizowanego świata, dla nas zaś przełomowa podwójnie. Nowe zaś idee i to idee zasadnicze, zwłaszcza w chwilach przełomowych, nie rozwijają się zwolna i organicznie, jeżeli nie mają uledz spaczeniu lub nawet zanikowi. Takie idee muszą być narzucone, muszą być siłą wtłoczone w życie. To zadanie spełnił względem całej Europy Napoleon i to w znacznej części ze swym Kodeksem w ręku. Kto wie, jak wyglądałoby obecnie prawodawstwo cywilne wielu krajów europejskich, gdyby nie był przeszedł przez nie choć z krótkim postojem Kodeks Napoleona; kto wie, jak wyglądałyby nawet najnowsze z tych prawodawstw, gdyby Kodes Napoleona światu całemu przez długie lata nie przyświecał. W r. 1808 nie mieliśmy ani owych nowych idei, ani swego własnego prawa. Korzyść zatem z zamiany obcych również i narzuconych praw, na Kodeks Napoleona była niewątpliwa, choćby tylko ze względu na idee, które z sobą wnosił. Ale była i druga, niemniej ważna. Kodeks Napoleona był prawodawstwem narodu, który nigdy już nie miał, ani nie mógł mieć bezpośredniego zetknięcia się z nami, ani na nas bezpośrednio oddziaływać. Przejęte od niego prawo pozostało w naszych rękach jako materyał, z którego mogliśmy samodzielnie korzystać i sami je do naszych potrzeb urabiać i przystosowywać, bądź to drogą jurysprudencyi, bądź też nawet, przez jakiś czas, drogą zmian prawodawczych. To nadało Kodeksowi Napoleona u nas specyalne, ogólno-społeczne znaczenie, jakiego gdzieindziej mieć nie mógł".

Z kolei zabrał głos znany historyk p. Al. Kraushar. Zobrazował on stan zamętu wewnętrznego i rozluźnienia się wszelkich kółek i sprężyn machiny państwowej, ujawniony w pierwszych już miesiącach po opuszczeniu kraju przez Prusaków, oraz przedstawił znakomite owoce pracy Komisyi Rządzącej koło utrwalenia spokoju i ładu w państwie. Mówiąc o budowie nowego gmachu sądownictwa, uwieńczonego przez Kodeks na poleoński, referent złożył świadectwo zasługom ówczesnego ministra sprawiedliwości, hr. Feliksa Łubieńskiego, któremu dzięki organizacya sądowa francuska, prawo materyalne i procedura francuska mogły się przystosować należycie do społeczeństwa naszego w niedługim stosunkowo przeciągu czasu; następnie zaś streścił zarzuty, jakie czynili Kodeksowi jego przeciwnicy.

Znawca dawnego prawa polskiego p. Feliks Ochimowski wygłosił wyczerpujący referat „O stosunku dawnego prawa polskiego do Kodeksu Napoleona". Ostatni z czterech zapowiedzianych referatów p. Jana Mrozowskiego dotyczył losów Kodeksu Napoleona w jego ojczyźnie we Francyi. Mówca wykazywał zmiany wprowadzone od roku 1816 w Kodeksie Napoleona, zaznaczając ogólną dążność prawodawców francuskich do poszanowania tej księgi praw.

Jubileuszowy numer *Gazety Sądowej* (Nr. 22) rozdawany uczestnikom obchodu odznacza się pięknym doborem artykułów; oprócz wymienionych i odczytanych znajdujemy pracę S. Askenazego: „Zagrożenie kodeksu Napoleona przy utworzeniu Królestwa Polskiego", artykuł S. Posnera „Dziś a przed stu laty nasz stosunek historyczny do Kodeksu", artykuł J. J. Litauera „Przeciwnicy Kodeksu", referat p. Szymona Rundsteina „Kodeks Napoleona w Niemczech", i adw. Marka Kuratowa „Kodeks handlowy". Numer ten przedstawia oddzielną całość i jest cennym przyczynkiem do historyi naszego prawa.

W.

KRONIKA.

Dalszy ciąg dyskusyi nad interpelacyą finlandzką wypełnił dwa posiedzenia Dumy. W pierwszym dniu rozpraw dominował p. Markow II. Rady, które dawał dla załatwienia sprawy finlandzkiej były proste: opierały się jedynie i wyłącznie na sile fizycznej. Następnie Milukow w świetnej mowie zbijał twierdzenia Stołypina, ale czas, który przedzielił te dwa wystąpienia ludzi, stojących na czele dwóch przeciwnych obozów opinii politycznej, osłabił wrażenie odpowiedzi. W drugim dniu wypowiadali się październikowcy. Rozprawy do żadnych rezultatów nie doprowadziły, nie doszło do zgody w zapatrywaniach ani między prawicą i październikowcami, ani między tymi ostatnimi i rządem. Prawica ze swą tendencyą unicestwienia obecnej samodzielności Finlandyi, została na uboczu; Duma odrzuciła wszelkie jej wnioski i formuły przejścia do porządku dziennego. Rozłam w zapatrywaniach na rzeczoną sprawę wśród październikowców, czego jasnym dowodem było przemówienie lewicowego październikowca p. Petrowo Sołowowa, który prawie, że zupełnie zbliżył się do zapatrywań, wypowiedzianych przez Milukowa, nie pozwolił z drugiej strony dojść paździenikowcom do porozumienia z rządem. Jak wobec tego było do przewidzenia Duma większością wszystkich głosów przeciw skrajnej prawicy odrzuciła uchwalenie interpelacyi finlandzkiej. Po uchwaleniu kilku mniej ważnych projektów ustawodawczych Duma przystąpiła do obrad nad referatem komisyi dla spraw ogólnych o chwilowem usunięciu posła Kosorotowa wskutek pociągnięcia go do odpowiedzialności sądowej. Dyskusya była nader ożywioną, brali w niej udział między innymi: pos. Meyendorf, Zamysłowskij, Puryszkiewicz, Maklakow, Kosorotow, Woronin i minister sprawiedliwości. W głosowaniu jawnem Duma większością 177 głosów przeciw 109 postanowiła tymczasowo wydalić Kosorotowa.

Polski komitet wyborczy w Prusach Zachodnich zamianował na posiedzeniu następujących kandydatów na posłów do sejmu pruskiego w okręgu wyborczym wejherowsko puckokartuzkim — ks. Łosińskiego i prof. Schroedera; kościersko-tczewsko-starogardzkim — ks. dr. Thokarskiego i kandydata centrowego; sztumsko-kwidzyńskim — Witolda Dominirskiego z Hohendorfu, grudziądzko-suskim — dr. Łaszewskiego; lubawskim — Stanisława Sikorskiego, brodnickim — Stefana Olszewskiego; wąbrzesko-toruńsko-chełmińskim — ks. Bolta; świeckim — Sass-Jaworskiego; w okr. tucholsko-człuchowsko-chojnickim pozostawiono decyzyę wyborcom; w złotowsko-wałeckim — dr. Romana Komierowskiego; w okr. elbląsko-malborskim uchwalono głosować na centrowców w myśl zawartego kompromisu; w Gdańsku pozostawiono wyborcom swobodę.

„Kölnische Volks Ztg." przypomina, że mimo oświadczenia ks. Bülowa z dn. 10 stycznia r. b., iż podczas obecnych wyborów rząd żadnego ucisku wywierać nie będzie, znane rozporządzenie regencyi gdańskiej z dnia 5 października 1898 roku, dotyczące zakazu używania języka polskiego w domu nauczycieli szkół ludowych i nakazu nauczycielom głosowania na rządowych kandydatów, pod groźą wydalenia ze służby, nietylko nie zostało cofnięte, ale na nowo odnośnym kołom przypomniane.

Nowa izba poselska w Belgii składać się będzie: z 87 członków partyi katolickiej, 43 liberałów, 35 socyalistów, 1 demokraty chrześciańskiego. Senat składa się z 64 katolików, 35 liberałów i 12 socyalistów:

W angielskiej izbie gmin stronnictwa lewicowe protestowały przeciw podróży króla Edwarda do Rosyi.

Przy wyborach do skupczyny przeszło 81 kandydatów rządowych, 46 młodoradykałów, 16 narodowców, 3 postępowców i 1 socyalny demokrata.

* * *

Generał-gubernator na zasadzie przepisów o miejscowościach, pozostających na stopie stanu wojennego, polecił zawiesić wydawnictwo pod tytułem „Promień". Na żądanie warszawskiego komitetu do spraw prasowych, skonfiskowano broszurę pod tytułem „O miłości ojczyzny".

Dziennik „Hasło", z rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego, skazany został na zapłacenie 100 rb. kary za umieszczenie korespondencyi z Dobrzechowa w Galicyi.

— Redakcya „Lechity" za przekroczenie prasowe skazana została drogą administracyjną na 100 rb. kary.

Gubernator warszawski polecił naczelnikom powiatów, by nadesłali mu dane szczegółowe o służbie i działalności urzędników.

Czasowy generał-gubernator piotrkowski polecił, aby dzieci do lat 17 nie karano administracyjnie, lecz aby za nie odpowiadali rodzice. Jeżeli rodzice dadzą winnemu w obecności policyi 25 rózg, to kara zostanie zmniejszona.

* * *

W „Warsz. Dn." czytamy: „Rektor uniwersytetu warszawskiego otrzymał zawiadomienie urzędowe o rozpoczęciu zajęć w Cesarskim uniwersytecie warszawskim z początkiem 1908—9 roku akademickiego".

* * *

Bankiet słowiański zgromadził w salach Resursy Obywatelskiej przeszło 200 osób. Przemawiali: pp. T. Korzon, Baranowski, F. Nowodworski, Dymsza, H Konic, Pogodin, Wołodimirow, hr. A. Krasiński, Lubicki i przedstawiciele klubu słowiańskiego w austryackiej radzie państwa, posłowie: Kramarz, Hribar, Hlebowicki W dłuższej przemowie, wygłoszonej po czesku pos. Kramarz wywodził, iż nowe dążenie do jedności Słowian protestuje w interesie Polaków, który jest zarazem interesem wszystkich Słowian, przeciw krzywdom polskim. Przybył on do Petersburga w nastroju pesymistycznym; ale usposobienie, które tam znalazł na konferencyach słowiańskich, było jakby snem jasnym. Spotkał się z nastrojem tak życzliwym, o jakim nie marzył. Musi podnieść słowa posła Bobrińskiego, który powiedział: „Po drodze pozdrówcie drogich naszych braci nad brzegiem Wisły—Polaków. Powiedzcie na Zachodzie, że już i na Wschodzie zajaśniała zorza, że wkrótce zejdzie tam słońce"! Ze wszystkich stron promieniowały uczucia życzliwości i przychylności dla pojednania słowiańskiego. Solidarność słowiańska jest sprawą zupełnie realnej polityki. Niemcy dążą do ekspansyi, to jest ich naturalne, dziejowe ciążenie, czemu musi być przeciwstawioną jedność słowiańska. Nie płynie to z uczucia nienawiści do Niemców, lecz z uczucia sprawiedliwości. Hasło neo-slawizmu brzmi: „równość, wolność, braterstwo".

* * *

Sekcya etyczna TKP odbyła posiedzenie pod przewodnictwem Aleksandra Świętochowskiego. Przewodniczący zakomunikował zebranym list St. Brzozowskiego, który prosi TKP o poparcie jego żądania zwołania sądu w sprawie zarzutu szpiegostwa, postawionego B. Postanowiono, nie wchodząc w bliższe szczegóły sprawy, żądanie p. B. poprzeć. Następnie Świętochowski wypowiedział dłuższą przemowę, w której poruszył sprawę zmian stosunków społecznych, wywołanych prądami rewolucyjnymi. Po ożywionej dyskusyi, w które zabierali głos pp.: Chrzanowski, Kostro, Kryńska, Ziemborocka, Sąchocka i d r Tomaszewicz-Dobrska, postanowiono poruczyć członkom rady ułożenie kwestyonaryusza dla ankiety o stanie obyczajowym i zmianach w pojęciach i kwestyonaryusz ten wydrukować w lipcowym numerze „Kultury".

W Tow. Prawniczem na posiedzeniu sekcyi prawa karnego p. E. St. Rappaport odczytał referat p. t. „Walka o reformę prawa karnego w Niemczech". W pierwszej części odczytu referent wykazywał łączność między ogólno-politycznemi przekonaniami a specyalnie kryminalno-politycznemi wybitnych kryminalistów współczesnych. W drugiej części przedstawił główne kwestye sporne między szkołą klasyczną a nowoczesnymi kierunkami i omawiał zarzuty skierowane przeciw Listowi, przedstawicielowi młodo niemieckiej szkoły prawa karnego, ze strony umiarkowanych konserwatystów (prof. Birkenmeyer) i socyalnych demokratów (pos. Haase). Pierwsi zarzucają Listowi, że jest zbyt śmiałym nowatorem, że dąży do usunięcia kary poza nawias współczesnej polityki kryminalnej, a zatem do uszczuplenia zakresu działania prawa karnego. Drudzy (referat Haasego na zjeździe s. d. w Manheimie) zarzucają wodzowi postępowych kryminalistów niemieckich, że łudzi się możliwością osiągnięcia dodatnich skutków w walce z przestępczością drogą połowicznych reform stopniowych, gdy w gruncie rzeczy przestępczość warunkuje współczesny ustrój społeczny. Na tle owych, biegunowo przeciwnych poglądów starał się referent, jako zwolennik reformistycznych usiłowań Liszta wykreślić granice krytycznej polityki kryminalnej, normującej w interesie ogółu i jednostek zdrowe pierwiastki zawarte w obu krańcowych dążeniach. W trzeciej części swego odczytu, referent określił rozwój polemiki i wskazał na międzynarodowe jej znaczenie.

W sekcyi ekonomiczno-społecznej wygłosił odczyt p. t. „Kwestya autonomii w oświetleniu społeczno-ekonomicznem" p Ignacy Brüner. Krytykując dotychczasowe prace, uzasadniające autonomię ze stanowiska nauki prawa i ideologii narodowej, referent wyraził przekonanie, że tylko nauka społeczno-ekonomiczna mogłaby wyjaśnić, w jakim stosunku znajduje się urzeczywistnienie problematu autonomicznego do rozwoju państw i narodów. Pod tym kątem mówca roztrząsał wszystkie dotychczasowe próby umotywowania autonomii i nigdzie nie znalazł odpowiedzi na swoje pytania. Uważa on to za lukę w rozbiorze tego zagadnienia, które tak zaprząta u nas umysły wszystkich ugrupowań społecznych i wszystkich klas. Zdaniem referenta brak kryteryów w tym kierunku nie pozwala ocenić, o ile ustrój autonomiczny zaspokoiłby w równej mierze interesy społeczno-ekonomiczne wszystkich warstw. Nad tem interesującem pytaniem rozwinęła się ożywiona dyskusya, w której brali udział: pp Chabielski, dr. Pinkus, Littauer, Krończki, Paciorkowski, Koszutski, Kempner i inni.

Stosunki ekonomiczne i kulturalne w Poznańskiem były przedmiotem nader interesującego odczytu, wygłoszonego przez p. Izę Moszczeńską w sali Ratuszowej. Prelegentka, doskonała znawczyni stosunków w Poznańskiem, przedstawiła barwnie motywy rozwoju i przekształcenia się materyalnego bytu poszczególnych warstw tamtejszego społeczeństwa. Nadmiar polityki, zdaniem prelegentki, zagłuszył w Poznańczykach prawdziwy rozwój duchowy, wiedzę, naukę i sztukę, zabił w nich zrozumienie innych ideałów, prócz robienia pieniędzy. Ogół jest w Poznańskiem napozór ogładzony i oświecony, ale nie posiada wybitnych jednostek, prawdziwych kierowników i przyjaciół ludu. I stan gospodarzy wiejskich i małomieszczaństwa, tej stosunkowo najswobodniejszej warstwy, jest raczej bierny i tonie w materyalizmie. Sam dobrobyt materyalny, słusznie zaznaczyła w końcu prelegentka, nie wystarczy do utrzymania narodowości; jedynie prawdziwa i szczera oświata powieść może Wielkopolan ku lepszej przyszłości

* * *

Opera zakończyła swój sezon; w ostatniem przedstawieniu opery Wagnera „Okręt-Widmo" debiutowała na scenie warszawskiej p. M. Colignon-Szymańska; artystka opery lwowskiej. W Rozmaitościach p. Adwentowicz przepięknie odtworzył główną rolę w głębokim utworze Ibsena „Rosmersholm".

Wystawa przyrodnicza w Bagateli stała się sezonową atrakcyą Warszawy. Do ostatnich dni przybywały wciąż jeszcze nowe okazy. Pogadanki gromadzą codziennie tłumy publiczności.

W imię ścisłości sprawozdawczej.

W Nr. 18 „Prawdy" (z 2 maja r. b.) w rubryce „Na dobie" przedrukowano z Nr. 193 „Nowej Gazety" artykuł *„Symptomatyczne zgromadzenia"* i artykuł ten przypisano mnie. Nie chcąc przywłaszczać sobie cudzej własności, zwracam uwagę, że pod artykułem oryginalnym w „Nowej Gazecie" znajduje się podpis: „*Rom.* (t. j. *Romualda*) Baudouin de Courtenay".

Co więcej, moje zapatrywania na tę sprawę różnią się cokolwiek od zapatrywań, wypowiedzianych we wzmiankowanym artykule. Swoje zdanie o „porozumieniu się ludów słowiańskich" wypowiedziałem w odczycie publicznym z d. 30 kwietnia, który to odczyt wyjdzie w tych dniach w postaci osobnej broszury.

Autentyczny drukowany tekst mego odczytu przekona sprawozdawcę z Nr. 18 „*Prawdy*", że mylił się on, przypisując mi oskarżanie jedynie rządu niemieckiego za gwałty, dokonane na Polakach, a usprawiedliwianie „niewinnego narodu niemieckiego". Przeciwnie, mówiłem zarówno o „hakatystach i ich opiekunach", jako też o „uchwaleniu nowych „praw" przez większość parlamentarną", a więc przez przedstawicieli narodu niemieckiego.

Prof. Jan Baudouin de Courtenay.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i środy od 11 — 12; piątki i soboty od 4 — 5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Wincenty Biskupski. Redaktor: Roman Nowakowski.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.